

c243 2552/1978/15

Czas przeszły aktualny

Zygmunt Mikulski

str. 3

PANCERNI UŁANI W WALKACH NA ZACHODZIE EUROPY

Exemplarz oddany do
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Ryszard Nowosad

str. 10-11

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kammena

LUBLIN 23 VII 1978 NR 15 (657)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

WIELKIE ŚWIĘTO

Tadeusz Jasiński

PRZED nami weszła do Lublina Armia Radziecka. Wcześniej oni zdobyli miasto. Nasz trzeci pułk pierwszej dywizji nadziedł od Metz. Ale jeszcze trwały walki, jeszcze było głośno, słychać było detonacje i strzały. Pierwszy postój przypadł nam na Kalinowszczyźnie, a drugi przy parku i zaraz potem trzeba było iść dalej, bo myśmy mieli swój cel, nam były przeznaczone Puławy, most żelazny na nas czekał. Mielśmy go zdobyć i utrzymać. Teraz to ja potrafię narwać, gdzie myśmy się zatrzymywali, ale wtedy po raz pierwszy tu byłem. Kiedy Lublin wspominam w te pierwsze dni i miesiące, to tylko Zamek i to, co widziałem przy Rogatkach Warszawskich. To, co widziałem w tych dwóch miejscach, nikt chyba nie potrafiłby zapomnieć.

Jerzy Szawdzin, prawie sześćdziesięcioletni major rezerwy, podnosi głowę i patrzy nade mną, wydaje się, że przywołuje własne obrazy, o których mi ledwie wspomina. Zwykle ludzie przymykają oczy w takich chwilach, pochylają się, a on właśnie wybiega wzrokiem gdzieś wyżej, jakby z ulicy Skłodowskiej było możliwe ujrzeć znowu tamte miejsca bez opuszczenia mieszkania.

— Z Kalinowszczyzny przypadło nam iść koło Zamku. Nic przedtem o nim nie wiedzieliśmy, ale dotarła do nas wiadomość czemu ludzie tam tak masowo się zbierają, czemu oni płaczą i rozpaczają. Dowódca batalionu pozwolił nam pójść i popatrzeć. No, ja widziałem wiele. I na froncie, kiedy byłem jeszcze w Czerwonej Armii, i potem w polskim mundurze w pierwszej dywizji. Na froncie zabijają żołnierza i to wydaje się normalne. Jeden tu, drugi tam... nie leżą stosami. Krew jednego, to nie krew setek, może nawet tysięcy. To nie był ten sam dzień, kiedy została dokonana ta wielka zbrodnia. Zbrodnię popełniono dużo godzin wcześniej. Krew już zaszyła na ludzkich twarzach i w całych kałużach, przesiąkała nawet przez sufity i tak zakrzepła ogromnymi plamami. Zebrani tam ludzie mówili, że w ostatnich chwilach przed ucieczką hitlerowcy otwierali cele i pociągali z karabinów maszynowych, a w każdej celi było więcej Polaków niż mogło się pomieścić. I ten moment mi pozostał w pamięci najbardziej. Gdy nawet ktoś chciał, to nie mógłby policzyc zamordowanych. Wciąż myślę, kiedy przywołam tamte chwile, o tych stertach ludzkiego nie-szczęścia, setkach krewnych, którzy przychodzili i szukali swoich. Oni nie wiedzieli, czy ich bliski jest wywieziony gdzieś dalej (wtedy była jakaś nadzieja), czy znajdują go wśród poległych. Przyglądali się każdemu osobno, odwracali, aby zobaczyć twarz. Jedni znajdowali, w innych czaiła się jeszcze otucha. Człowiek siedł przez podwórzec zamkowy i

Dokończenie na str. 4



Fot. Jan Tyszler

Grand Prix...

Grand Prix — „Złota Jaskółka Morska” Festiwalu Eurowizji w Brukseli — Krotkce otrzymała Telewizja Polska za program oparty na spektaklu „Malczewski” a wykonany przez Studio Wizji i Ruchu z Lublina, z muzyką SBB — Józef Skrzek. Reżyserem telewizyjnym programu był Jerzy Gruza, muzykę skomponował Józef Skrzek, choreografię opracował Jerzy Leszczyński a scenariusz Jerzy Leszczyński i Jerzy Gruza. Aby uzmysłowić czytelnikom wagę tego sukcesu, informujemy, że „Srebrną Jaskółkę” przyznano takiemu potentatowi w branży, jakim jest londyńska BBC, „Brazowa” — też nie kiepskiej telewizji szwajcarskiej. Festiwal funkcjonuje od 1970 roku, ale dopiero pierwszy raz zaproszono nań telewizję kraju socjalistycznego. Gratulacje dla wszystkich autorów i wykonawców programu, a w szczególności dla J. Leszczyńskiego, jako że w pewnym sensie jest to nasz człowiek.

Z DNI WYZWALANIA LUBELSZCZYZNY

W lasach gościeradowskich

Leszek Siemion

DZIEN 24 lipca 1944 r. na południowej Lubelszczyźnie przyniósł znaczne zmiany sytuacyjne. Na południu wojska I Frontu Ukraińskiego dotarły do Sanu pod Sieniawą, zajęły Bilgoraj, szturmowały Zwierzyniec oraz parły na Zamość i Krasnostaw. Na północy armie I Frontu Białoruskiego zlamaly reszki niemieckiego oporu w Lublinie i dotarły do Kurowa, zaś ich spóźnione lewe skrzydło wychodziło na Wieprz pod Trawnnikami. W ten sposób na południe od Lublina wytworzył się ogromny „worek”, w którym szamotały się związki dwustronnie oskrzydłonej niemieckiej 4 armii pancerniej. Związki te uchodziły w kierunku przepraw wiślanych pod

Annopolem i Józefowem, osłaniając się strażami tylnymi stawiającymi zacielny opór. Szczególnie zajadłe walki toczyły się w rejonie Zwierzynca, zaś na odcinku Izbica — Trawniki Niemcy usiłowali zorganizować przedziową obronę na linii Wieprza.

Na szlakach niemieckiego odwrotu uwijały się liczne oddziały partyzantów Lubelszczyzny, nie ustannie atakując cofające się formacje hitlerowskie. Tego dnia rozkazy mobilizacji sił konspiracyjnych wydały m. in. dowództwa krańickiego Obwodu Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich. Następnego dnia konspiracyjne plutony miały się sformować w oddziały bojowe.

Nadzwyczajny i jednoznaczny ruch nieprzyjaciela spowodował także nowe decyzje południowej części sztabu Obwodu II Armii Ludowej i kierownictwa Polskiej Partii Robotniczej, przebijających na kwatery w Trzydniku Małym. Do kwatery sztabu, mieszczącej się w chacie Tompolskiego nadeszły meldunki, że Niemcy w Krańniku spakowali manatki i szykują się do opuszczenia miasta. Równocześnie z Krańnika na Annopol wala nieprzerwanym sznurem różne oddziały niemieckie i tabory, samochodowe i konne.

Po południu zjawila się córka dowódcy miejscowego plutonu Ał

Dokończenie na str. 5-9

z notatnika

14 VII. — Tak się złożyło, że ostatnio nie sijałem systematycznie do mego notatnika. A przecież spraw wielkiej wagi nie brakowało, nie brakowało również problemów, których w skali kosmicznej nie da się zmierzyć, ale które to i owo dawały do myślenia.

Piszę — skąpa kosmiczna i z góry już wiadomo, co mam na myśli. Mirosław Hermaszewski, czyli pierwszy Polak w przestrzeni okłóziemskiej.

Pierwsi byli synami Kraju Rad, później nazwiska kosmonautów radzieckich zaczęły się przeplatać z nazwiskami kosmonautów amerykańskich. Wydawało się, że wspólny lot Sojuza i Apolla, głośne spotkanie w kosmosie stanęło się symbolem radziecko-amerykańskiej współpracy nie tylko nad Ziemią, ale i na Ziemi. Problemy ziemskie są jednak bardzo skomplikowane, toteż nie wszystkie nadzieje ludzkości mogą być już w tej chwili spełnione. Dialog jednak trwa, przed kilkoma dniami doszło do kolejnej rundy rozmów między Vancem a Gromyką. Wymiana poglądów na temat SALT nie doprowadziła — jak pisze prasa światowa — do usunięcia istniejących rozbieżności, czego zresztą należało się spodziewać, ale pozwoliła na stworzenie podstawy dla dalszych działań mających na celu zbliżenie stanowisk obu stron. Obaj ministrowie oświadczyli dziennikarzom, że istnieje potrzeba skonsultowania się ze swymi rządami, a Gromyko dodał obrazowo: „Rozpatrzenie nowych idei, przedstawionych tutaj, wymaga, aby słońce weszło więcej niż dwukrotnie. Decyzje nie zapadają w sposób tak łatwy, jak oberwanie się chmury”.

I na zakończenie tego tematu chcę przytoczyć fragment wypowiedzi Józefa Winiewicza w ostatnim numerze „Literatury”:

„Zważmy, że osiągnięcia te (mowa o sukcesach w kosmosie — MAJ) uzyskało państwo, przeciw któremu w latach po rewolucji sprzysięgły się wszystkie siły światowej reakcji. Próbowano je izolować nie tylko od źródeł ogólnowiatowej wiedzy, lecz od wszelkich nurtów międzynarodowej współpracy. Co Kraj Rad osiągnął — wydrapał własnym wysiłkiem, z iluż wyrzeczeniami radzieckich ludzi. Jak powiedział któryś z mądrych radzieckich towarzyszy: postępu Związku Radzieckiego nie trzeba oceniać widokiem witrzyn sklepowych, zajrzeć należy głębiej. I taki sojusznik dopuścił nas do tajemnic swych instytucji, laboratoriów, pracowni, aerodromów, wreszcie statków kosmicznych. Ułatwił nam wejście we wszechświat”.

Nie komentuję —

15 VII. — W tym samym numerze „Literatury” zwróciłem uwagę na felieton Jerzego Putramenta. Są kraje — pisze on — uwielbiające wielkość. Taka jest przepiękna Francja. W byle osiedlu, nad byle rzeczką, byle hotelik przy byle dworcu jest już Wielki. Miejscowa gazетка zawsze jest nazywana „Le grand journal”, nawet jeśli nie wychodzi za własny departament. Tu dochodzi my do kluczy ego problemu wielkości. Wielki Dziennik może nie wychylać nosa poza swe miasteczko, ale będzie miał prawo do tego przydomku, gdy obok jest jakiś dziennik mniejszy. Dlatego tak lat o o Wielki Prąd Umysłowy wśród francuskich radykałów czy trockistów, których kierunki umysłowe idą w setki. Nie ma wielkości bez małości. Ale wszystkie te wielkości ulegają bezlitosnemu zębowi czasu.

Stąd wniosek, że do wielkości trzeba podchodzić ostrożnie. Jeśli więc nie wielki, to co? Równy. Ale człowiek — stwierdza dalej Putrament — obraca się w dwóch diametralnie różnych od siebie środowiskach: zgodnie z Krasie-kim każdy ma zajęcia, przed którym ucieka, i swoją żabę, która go się boi. Każdy, niestety, znać to bowiem, że równych jest niewiele. Rzadka to zalecia a i umiejętność równego stosunku i do tych, od kogo zależy, i do tych, do których się należy. Nielatwe to zajęcie być równym wobec absolutnie wszystkich. Dlatego tej równości nie można mierzyć w milimetrach czy miligramach. Wobec tych, od których zależy, dopuszczalna jest pewna rewerencja, byle bez choćby szczypty przesady. Z zachowaniem dystansu, owszem, ale obustronnego. O pojęczynkę tej rewe-

rencji za dużo, a już wpadasz w pochlebstwo.

Pochlebstwo. Ten, kto schlebia, przeżywa z tego powodu nie euforię, ale upokorzenie. Wesle nie znaczy to, że najwięksi pochlebcy będą także najwielniejsi. Historia uczy czegoś całkiem innego. Właśnie oni w trudnym momencie zawiadają.

Pochlebcy i z innych powodów zasługują na baczną uwagę, ba, po prostu na obrzydzenie powszechne. Wiedzą o tym, i dlatego wszystko w ich działaniu obliczone na dystans krótki. Schlebają, licząc na zyski osobiste. Poniżają się i w żalonym zaślepieniu sądzą, że aby to nadrobić, wystarczą poniżyć innych, zależnych od nich samych. W ten sposób stają się generatorami nieustannych, powszechnych niezadowolonych.

Poczytałem i trochę pomyślałem. Nie byłoby pochlebcy, nie byłoby pochlebstwa jako zjawiska, gdyby ci, którym się chlebia, po prostu sobie tego, powiem ogólnie, nie życzyli. Krytyka stanowiska przełożonego, wyrażona publicznie, może być przez niego odczuta jako próba obniżenia autorytetu. Przeważnie



Pierwszy „ziemski” posiłek kosmonautów Piotra Klimuka i Mirosława Hermaszewskiego w samolocie wiozącym kosmonautów z kosmodromu Bajkonur do Moskwy.

szlucznego. Doświadczenia dziennikarskie wykazują, że wielu ludzi, pełniących w danym momencie określone stanowisko, ufozamia to stanowisko z własną osobą. Ileż to przechodzi napaśzonych wyznań do redakcji! Zamiast ustosunkować się do meritum sprawy, do poszczególnych zarzutów — huzia na autora!

Autor, przekonany o swej racji, zwykle się broni, zresztą autor na ogół wobec tego, kogo krytykuje, w żaden sposób nie jest zależny. Krytykowany, chociaż pokazuje naturki, wie o tym dobrze i dlatego szuka tych, którzy udzielili, lub mogli udzielić informacji, będących zwykle tajemnicą poliszynela. Jeśli się chce uderzyć, kij się zawsze znajdzie. Ale ile marnuje się energii, aby ów kij znaleźć, aby kij ten był w miarę sokiwy, aby uderzenie tym kłosem było celne i bolesne! Sądzę, że gdyby krytykowany choć połowę tej energii użył na naprawienie własnych błędów, efekt byłby daleko większy, nie mówiąc już o korzyściach natury ogólnej...

Sa i tacy ludzie, którzy — a to jest sprawa najgorsza i tych właśnie ludzi uważam za najbardziej wrednych — mają dwie twarze, dwa języki. W oczach będzie uśmiechnięty, przemiły, nadświatacy, gotowy spełnić każde życzenie swego zwierzchnika, a poza oczy natrafi przestawie się o 180 stopni. „To jest znakomity pomysł!” — powie do zefa, by zaraz potem rzucił poza jego plece: „Szał zwirował, ma coraz bardziej idiotyczne pomysły.” Co zrobić z takim typem? No, co?

Zycie, codzienne życie stwarza wiele sytuacji. Chyba nie pomylę się, jeśli stwierdzę, że za krytykę wielu mniej czy więcej uciekało. Za pochlebstwo nie uciekał nikt. Ci, którym się chlebia, nie są z cukru. Nie zliże się ich do unicestwienia włącznie.

16 VII. — W „Kurierze Lubelskim” (na) pisze o Biesiadzie Literackiej, zorganizowanej na raz piąty z Ziemi Lubelskiej, tym razem w Piotrowicach. Inicjatorem, patronem i mecenasem jest

„ZSMP. I po trzech — dodam — „Kamena”, która kilka złotych na tę imprezę wysupłała. (Pa) nie uczestniczył w najważniejszej, moim zdaniem, części Biesiady, kiedy to jej uczestnicy zgłaszali wiersze, czytając je publicznie, a Tadeusz Mocarcki i Roman Sliwowski — niekiedy przy czynnym udziale młodych twórców — je komentowali, czy, jak kto woli — oceniali.

Opinia naszych gości, którzy zapewne mają większe możliwości porównawcze, jest taka, że młodopisarskie środowisko lubelskie należy do wyróżniających się w kraju. Oczywiście można by tu nieco złośliwie przypomnieć cytowanego już Putramenta (nie ma wielkości bez małości), można by powiedzieć, że wśród małości jest małość bardzo mała, mała, średnia, wielka i interpretować to dowolnie, ale nie w tym rzecz.

Chciałbym jeszcze raz jednak powiedzieć młodym, żeby po prostu doceniali to, co się dla nich robi. Stypendia twórcze, dotacje do zbiorów, honoraria autorskie, czy chociażby organizacja takiej Biesiady, na której za społeczne pieniądze można się spotkać i pogawędzić. Przypomniałem publicznie w czasie obrad, że mój Ojciec, K. A. Jaworski, nie wydał przed wojną przy pomocy takiego czy innego mecenasa żadnego zbioru poetyckiego. „Nakładem autora” — taki był ówczesny start debiutantów, a przynajmniej zdecydowanej większości spośród nich.

SZPALTA O SPORCIE

MAMY za sobą mistrzostwa świata w piłce nożnej. Ich orzebieg jest już historią, która dostarczy tematów do przemysłu dla działaczy sportowych i szkoleniowców. Oni już muszą budować zespół, który powinien nam dostarczyć nowych emocji w najbliższych latach, a nawet miesiącach. Czekają nas bowiem nowe boje eliminacyjne. Już 6 września nasza reprezentacja inauguruje rozgrywki czwartej grupy eliminacji mistrzostw Europy. Będzie to mecz z nie najgroźniejszym przeciwnikiem — Islandią, ale na jego terenie.

Nie najgroźniejszym dlatego, że grupa czwarta, obejmująca Polskę, składa się z drużyn, z którymi nasi piłkarze nie mają dodatkich sald. Około bowiem Islandii znajduje się tu Szwajcaria oraz dwie bardzo dobre drużyny: wicemistrzowie świata — Holendrzy i zawsze groźna drużyna NRD.

Polska po meczu z Islandią grać będzie 15 listopada ze Szwajcarią u siebie, 18 kwietnia 1979 r. z NRD na wyjeździe i 2 maja z Holandią u siebie. Rewanżową kolejkę rozpocznie 12 września ze Szwajcarią, z NRD spotka się 23 września, z Islandią 10 października, a udział jej w eliminacjach zakończy wyjazdowy mecz z Holandią 17 października.

Szczególnie mocno będą kibice trzymać kciuki w czasie meczów z Holandią i NRD. Wiele też wymagać będą te spotkania od naszych trenerów i szkoleniowców. Tym bardziej, że w finale mistrzostw Europy jeszcze nas nie było.

Niedługo po tym czekają nas eliminacje do turnieju olimpijskiego, w którym przecież mamy już za sobą ładnie zapisane karty.

Ale piłka nożna to nie tylko wielkie turnieje międzynarodowe. Na co dzień emocji dostarczają nam rozgrywki ligowe, które rozpoczynają się już w ostatnią niedzielę lipca. Nasi II-ligowcy po reorganizacji spotkają się z nowymi przeciwnikami. Życzymy piłkarzom Motoru i Avii, by w tej grupie szybciej znaleźli drogę do upragnionej przez kibiców ekstraklasy piłkarskiej, której 390-tysięczne miasto bezskutecznie oczekuje.

Początek sezonu ligowego to nie tylko ekstraklasa i II liga. W klasie międzywojewódzkiej, która jest przedsiódkiem do II ligi, w ubiegłym sezonie ponieśliśmy znaczne straty. Wszystkie drużyny, które spadły z tej grupy rozgrywek, wywodzą się, niestety, z naszego regionu. Straciliśmy tam cztery miejsca: Hetman, Stal Poniatowa, Chelmska i Wisła uściplić musiały miejsca drużynom z innych województw, a tylko Tomaszów zajęła jedno z opróżnionych przez nie miejsc.

Kibice miejscowi oczekują od swoich drużyn, że zajmą one czołowe lokaty w tabelach. Szkoleniowcy drużyn niższych szczebli muszą stać się pamiętliwi o tym, że od nich w równej mierze zależy poziom piłki krajowej, co od trenerów ekstraklasy i kadry. Oni bowiem uczą piłkarzy podstaw — abecadła futbolowego, które decyduje o późniejszych sukcesach drużyn i poszczególnych zawodników tak w ich drużynie, jak i w wypadku awansu do zespołów wyższych klas a nawet kadry.

Przed rozpoczęciem jesiennej rundy rozgrywek wszystkich klas życzymy zawodnikom dobrej gry, stałego wzrostu umiejętności piłkarskich, a drużynom awansu do wszystkich klas rozgrywek.

tgw

Czas przeszły aktualny

Zygmunt Mikulski

„Lipiec czterdzieści cztery”. Skrót używany w języku oficjalnym i prywatnym, na sali konferencyjnej i na ulicy. Termin historyczny i wstążka dla intymnej wiązanki wspomnień.

No cóż. Już wówczas można było sobie uzasadniać ten nastrój. Ze po pięciu latach śmierci, że obrót kołowrotu dziejów, że zmieniły się losy drugiej wojny światowej. Ale rzeczywistość napierała zbyt energicznie, by zostawić

niczą „Czytelnik”. Później był jednym z organizatorów Wrocławskiego Kongresu Intelektualistów w obronie pokoju. Jeszcze wtedy, w Lublinie nie wiedzieliśmy, że tak niewiele pozostaje mu czasu wśród żywych.

Jan Huszcza to był kawał zwalistego chłopca. Możliwe, że rozmiar własnego ciała trochę mu przeszkadzał, bo trzymał się pochyło, zawsze w postawie jakby do ataku, w bluzie niezupełnie utrzymanej regulaminowo. Kiedy szedł korytarzem „Rzeczpospolitej”, od razu dawał znać o sobie chodem ciężkim, w butach najregularniej kazonnych, bo żadnego stopnia nia miał. Pisywał wiersze liryczne, jeszcze o poecie sztubackiej, przypominającej czasy sprzed wojny. Pamiętam, że w jednym z jego wierszy „oszę liściom szepelił październik” (oczywiście ten sprzed roku) i chyba można uznać za satysfakcję autora, jeśli po tylu latach tych kilka słów potrafił przytoczyć. Napisał felieton satyryczny przeciw biurokracji (tak, tak, już wówczas się zaczynała). Felieton ten odczytał na jubileuszowym zjeździe literatów, w trzydzieści lat po założeniu związku. Było to jedno z najautentyczniejszych wspomnień. Tak samo dowcipnie mówiła Stefania Grodzienka, w lipcowym czasie spikerka Polskiego Radia,

Do Lublina weszliśmy wieczorem. Ulice zalegały tłumy, porządku pilnowała nieoczekiwanie jakaś władza z biało-czerwonymi opaskami na rękawach. Grala orkiestra wojskowa.

Zofia Bystrzycka:
„A zaczęło się tak...”

trochę później wykonawczy satyrycznych tekstów w Teatryku Małych Form „Tankietka”. Nie znalazłem tego nazwiska sprzed wojny, dziwiłem się, że spikerka, a taka dowcipna. Na tym zjeździe pewien szczegółik przypominała Anna Kamińska. Mówiła o tym, jak ją i Julię Hartwig obronił Putrament przed Janem Aleksandrem Królem, który chciał je — poetki — zaangażować do układania propagandowych sloganów. Król był kierownikiem wydziału w Resorcie Informacji i Propagandy, postąpił więc zgodnie ze swoim oficjalnym emplotem. „Oficjalnym”, ponieważ całym zainteresowaniem wyrwał się do ruchu wydawniczego, co zresztą niebawem osiągnął jako redaktor naczelny tygodnika „Wies”.

Tu należałoby kilka słów poświęcić grupie lubelskiej. Oczywiście nie była złączona wspólnymi założeniami artystycznymi, każdy dorastał pod auspicjami innych nazwisk i kierunków, ale w warunkach „alertu literackiego” wywołanego lipcem autochtoni lubelscy poczuli spójnię choćby tylko towarzyską. Przewodził im Jerzy Pleśniarowicz. Za jego sprawą rozpoczęło się penetrowanie terenu, a raczej rozglądanie się po ini-

Każdy obywatel miasta Lublina do dziś pamięta ul. Spokojną roku 1944, wówczas tej nazwa najbardziej ruchliwą. Tu się miesiło w okazałym budynku polski Komitet Wyzwolenia Narodowego i wszystkie Ministerstwa, które w owym czasie, ze względu na formalnych, zwano Resortami. Jeszcze inaczej nazywał ten budynek Vox Populi — gettem urzędowym. W tym budynku na drugim piętrze znajdował się Resort Kultury i Sztuki.

Aleksander Rafałowski:
„Utwiki wspomnień”

cytywach, do których należałoby dołączyć. Tych inicjatyw okazało się kilka. Po immatrykulacji do ruchu literackiego dokonanej przez Putramenta Kamińska i Zygmunt Kalużyński znaleź-

li się we „Wsi”. Kalużyński znawca tematu wiejskiego? Trochę to do niego nie pasuje, a przynajmniej czytelnik od szeregu lat jego specjalistycznych publikacji z dziedziny filmu niełatwo to sobie może wyobrazić, ale musimy pamiętać, że był to okres początku, a więc fermentu i nowości na każdym polu, czyli atmosfera dla Kalużyńskiego najzupełniej odpowiednia. „Ferment” to jego słówka ulubione. Jego tom esejów „Nowy Kalioan” nosi podtytuł „Notatki kibica z okresu fermentu”. Nie brakowało go wówczas i we „Wsi”. Bodaj czy nie ona była wówczas najwyższą redakcją. „Odrodzenie” zdominowane doświadczeniem Kuryluka i apodyktycznością Przybosa choć najlepsze, mało dawało pola do wewnątrzredakcyjnych dyskusji. We „Wsi” był jeszcze Ryszard Matuszewski, więc ta czwórka nieustannie miała sprawy sporne, w dodatku określenie się wobec problematyki publicystycznej innych czasopism (co szczególnie wyraziło się w okresie późniejszym, łódzkim) wymagało żywości i polemicznego temperamentu.

Igor Sikirycki i Tadeusz Chabros spikerowali w radiu. Tu znów narzuca się małe porównanie z czasem późniejszym. Kto znał Tadeusza jako naczelnego Rozgłośni Lubelskiej, później dyrektora Operetki, wicedyrektora Muzeum i dyrektora Wojewódzkiego Domu Kultury, ani go sobie zestawiał z rumianym i okrągłym na twarzy młodym blondynem,

Może najistotniejszym moim przeżyciem w Lublinie było poczucie rozrastania się środowiska literackiego. Przesto trzy lata w Związku Radzieckim bytowałem w trójce czy piątce. Grandflokwentny Pasternak w laciowym, białoburym kożusku. Wazyk w futrzanej czapce osobistego kroju i ja — oto było wszystko. W czterdziestym trzecim znalazł się Szeuwald, który właśnie w sierpniu zginął w wypadku samochodowym pod Lublinem.

Jerzy Putrament:
„Niema bitwa”

trochę nawet zagubionym w ferworze redakcyjnych zajęć. Zagubionym więc i nie angażującym się do nich nadmiernie. Spikerzy — jak Grodzienka — pojawiali się w redakcji dla rzucenia paru dowcipów, albo — jak Igor i Tadeusz — dla wyklócania się o jakieś dźwiękochonne kotary, o które ciągle był nagabywany intendent. Tadeusz był autorem pewnej noweli zakończonej sceną wylamywania kra, ale ze względu na jej charakter zwykle określany mianem „wczesne juvenilia” nie włączył jej do rejestru swoich osiągnięć literackich. Zdradzam powodowany wyłącznie wymaganiem autentyku.

Tymczasem słońce wciąż świeciło. Rzadko kiedy później ważne dla mnie wydarzenia odbywały się z akompaniamentem tak świetnej pogody. Jakby sama meteorologia zadbała o to, by nadać tamtym dniom jak najlepszą oprawę, jakby nieufna w rozeznanie młodości i pod tym względem chciała czas upamiętnić. Więc chodziło się w tych promieniach, które padały jeszcze na nieuprzągnięte resztki gruzów i była w tym wymowa pośpiechu: życie rwało do przodu przeskakując ogniwa.

Właściwie gdy to pisać, natrętnie powtarzają się te słowa — pierwszy, pierwszy, pierwszy... Jest jednak chyba przyjemnie mówić o czymś, że „po raz pierwszy”!

Jan Huszcza:
„Dom przy ulicy Radziwiłłowskiej”

Tu warto przypomnieć poranek autorski młodych poetów lubelskich. Cóż, kalendarium poda datę, skład uczestników, miejsce imprezy, ale mało się o tym mówi od strony znaczenia, jakie miała ona dla samych zainteresowanych. Później rozjechał się po kraju, czasem któryś odbędzie tu spotkanie autorskie, ale już jako przybysz. Jako mieszkańcy tego samego miasta może nawet nie wiedzeli, że występują po raz ostatni.

Atrakcja? A cóż innego. Proszę sobie wyobrazić, że niewypierzonym — jeszcze wówczas — adeptom plóra udostępniła się możliwość publicznego występu. Czy nie zapadnie w ich pamięci na zawsze? Napisany wiersz zwykle dawało się koleźce, ten ewentualnie komuś. Łańcuszek kameralny. Tu własne słowo trzeba było rzucić przed całą salę. Trema i zaszczep. Wchodziło się w „świat literatury”. Z jakim skutkiem, to po występie każdy oceniał indywi-

dualnie, ale nawet gorzki posmaczek w samopoczuciu miał coś wspólnego z przekroczeniem Rubikonu.

W Lublinie zjawiałem się w dwa lub trzy dni po jego wyżegnaniu. Przynajmniej mnie tutaj stałobawo widać i kłócieli się i przyglądali. Północ, Jechalem z rozkazem szefa Zarządu Polityczno-Wychowawczego i Armii, z pilnym zadaniem Miałem znaleźć drukarnię, litografię i balonem wykonać plakat przedstawiający żołnierza i partyzanta idących do ataku. Podpisem miało być tylko jedno słowo — „Idziemy”.

Ignacy Witk:
„W kawiarni plastyków”

Chocia wahała i gość bardzo wolno, nie odrywając prawie nog od podłogi, podszedł do krzesła.
— Czy pani się nie czuje?
— Nie, tylko...
Nieznamoma usiadła i zalażyła nogę na nogę. Jej sety pantofel, z gatunku zwanego szeroko po nazwę „drewnianka”, rozpadł się na dwie.
— Nazywam się Grodzienka.
— Spojrzała na swoją nogę i dotknęła — Przyszłam z Warszawy.

Tadeusz Chabros:
„Wśród ścian pokrytych kocami”

Gdzie to było? W nieistniejącym już domu przy ul. Dymitrowa (dawniej Radziwiłłowska 9). Dom był zbudowany na Haus der NSDAP i miał wszelkie cechy jakiejś bawarskiej świetlicy z drewnianym świecznikiem, boazerią itp. Poranek był długi, w niedzielę i w tak słoneczny dzień nikomu do domu się nie spieszyło, a najmniej autorom, którzy uznali, że obchodzą własne święto. Czyje wiersze podobały się najbardziej? Oprócz Hartwigianki i Kamińskiej zdaje się, że Zbigniewa Piotrowskiego, który miał pewną umiejętność pejzażowania, natomiast nie przecieżał swoich tekstów problematyką filozoficzną. Nazwisko dziś już zupełnie znikło. Osoba również. Nie pojawia się w kontaktach towarzyskich, nawet tych przypadkowych.

Co dodać. Ze pokłosie tego poranka znalazło się w wydaniu książkowym, a była to piąta z kolei książka w wyzwoleonej Polsce. Weźmy małą poprawkę: nie książka, lecz zeszyt. Rozmiar pozycji wydawniczych limitowany był możliwościami drukarni.

W tym mieście skromnym i tyżnym zaczęła się Polska spełniać. Polska zbrojna w ziemię, człowieka i jego kulturę. Ta która się dokonała już na oczach wszystkich. I pewnie tutaj znajduje się to najważniejsze, co sprawilo, że uznaliśmy warszawianie, krakowianie, poznaniacy — Lublin za miasto własne.

Zbigniew Biełkowski:
„Pożegnanie Lublina”

Jeżeli pomijam, że centrum życia literackiego znajdowało się w redakcji tygodnika „Odrodzenie”, to dla oczywistości tego stwierdzenia. A także ze względu na znajomość tego faktu dla każdego, kto w jakikolwiek sposób zetknął się zainteresowaniem z okresem stołecznego Lublina. Ale podajmy chociaż nazwiska. A więc oprócz wymienionych: Wazyk, Jastrun, Biełkowski, Bystrzycka, Bochenki, Miłkułko, Pięta, nawet Peiper. Z satyryków: Minkiewicz, Pasternak, Lec. Jako centrum redakcja zaznaczyła się również tym, że w jej lokalu odbywało się wiele dyskusji, a wszystkie były gorące, niekiedy zajadłe. Nie przeskadzało nawet gasnące światło. Trudno powiedzieć skąd w wypadku awarii sieci elektrycznej po jawiła się świeca, ale i ona była.

No cóż. Kilka odruchów, kilka widoków pamięci. Wiem, że nie ująłem w całości lubelskiego lipcowego czasu. To zresztą niemożliwe. Dla każdego, kto był świadkiem tamtych wydarzeń, ten czas nieustannie narasta.

Cytaty pochodzą ze zbiorowego tomu wspomnień „W stołecznym Lublinie” wydanego pod redakcją Marii Hechczy-Rudańskiej.

WIELKIE ŚWIĘTO

Dokończenie ze str. 1

przez te sale. Patrzył pod nogi, żeby nie deptać po tej świętej krwi, po tych zaciekach, po tym, co widoczne na korytarzach, albo przelane było i zaschnięte na schodach. Zapamiętanie w żołnierzach rosło, większa jeszcze chęć walki i zwycięstwa. Nam już wtedy chodziło o to, żeby jak najszybciej pomścić to, co oni na naszej i radzieckiej ziemi zrobili.

Po tym wszystkim dowódcy dali nam odpoczynek w parku przy Alejach Raclawickich. Były tam takie betonowe ławki. Za parkiem znowu słychać było strzały, a za miastem odgłosy jakiejś walki. Ale tego byliśmy zwyczajni. Potem pokazywano mi człowieka, który przeżył masakrę na Zamku. Kiedy rozstrzelali, znalazł się pod kolegami i tak ocalał. Spotykałem go później, ale nigdy nie miałem tej śmiałości, żeby go zapytać, jak to było, jakie były te ostatnie godziny. Teraz już go nie widuję. Tych odgłosów wojny byliśmy zwyczajni, tylko nie wiedzieliśmy, że za chwilę znowu żniwo śmierci znajdziemy po drodze. Nie, na Majdanku nam iść nie przypało. Tam przeszli inni koledzy. Myśmy szli Alejami Warszawskimi i to, o czym mówię, zobaczyliśmy za Warszawskimi Rogatkami. Zobaczyliśmy świeże pobojowisko. Konie pobite i ściągnięte na bok, a ile trupów żołnierzy niemieckich — i przy Raclawickich, i tam właśnie, już prawie za miastem. Na Zamku było inaczej, tu wyglądało to trochę uladzone. No, jak sterty, jak metry drzewa w lesie, tak obok tej szosy poukładani byli nasi wrogowie! Jeden na drugim, jeden na drugim, a na nich jeszcze kilku, czasem bardzo wysoko, żeby droga była wolna. Tam, gdzie przed tym uprzęgnięciem przeszły czolgi, tam tylko miazga ludzka, tam płacek pozostał. Bo to jest walka, bo tak jest w bitwie prawdziwej. Radzieckie wojsko przeciło cofającym się jednostkom nieprzyjaciela drogę od strony Czechowa i Snopkowa. Czolgi nadeszły, a przedtem jeszcze lotnictwo i artyleria. Mimo że człowiek wojenny, człowiek patrzył na to i widział, jaka oni w tym miejscu ponieśli klęskę. I myślał sobie, że to za to wszystko, co o nich wiedział, co przed godziną jeszcze widział na Zamku, co nam mówiono o Majdanku, myślał sobie, że to dobrze, że spotkało ich tutaj, w tym samym miejscu. Nie byli to ci sami, co tam mordowali, chyba nie, ale wtedy człowiek myślał w ten sposób, bez rozróżnienia. Niemiec, to Niemiec i nie więcej, bez żadnej różnicy. Na froncie nie było takiej masowości śmierci, jak w Lublinie, w którym nie sądziłem w tamtej chwili, że przypadnie mi zamieszkać na zawsze, no, bo myśmy szli naprzód i czekali na zadania, mieliśmy znowu wejść na pierwszą linię. Na froncie to albo idzie się do przodu, a zabitych zbiera druga linia, albo czasami się cofa i ratuje się tylko rannych. Człowiek nie ma czasu się nad tym zastanawiać. Ja strzelam i do mnie strzelają. A tu można było się natrzeć, chociaż trzeba było iść do przodu.

— Wojaczkę ja sam wybrałem. Przed wojną pracowałem na folwarku Platerów w Achremowcach, jako ślusarz. Ta nasza wieś i jeszcze dwie inne — Szakury i Ozierawce, uchodziły za czerwone, bo tam była silna Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi. Działali tam towarzysze: Charyton, Józef Kustel, Józef Pietkun, Sierotka i Cyprian Dubina, który miał na mnie duży wpływ. Po przyśięści Armii Czerwonej wstąpiłem z nim, z Julianem Maksymowiczem, Michałem Palczewskim i innymi do milicji, bo chodziło o to, żeby uchronić mienie w majątkach przed rozgrabieniem wiosną czterdziestego roku wyjechałem z brasławskiego powiatu, bo były zachęty, żeby wstępować do Armii Czerwonej na ochotnika. Przeszło mi służyć jako saper w Pugaczowie. Po dwóch latach przyjęty zostałem do Komsomołu. Od chwili wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej wciąż moja dywizja, mój saperki batalion były w walkach. Saper miny musi zakładać, ale jeszcze częściej uwalniać od nich pola i drogi, którymi przejść ma własne jednostki: pod Możajskiem pod Moskwą, w okolicach Kalinina, Klina i w wielu takich miejscach, które trudno tu zliczyć i wymienić. Byłem kapralem zastępcą dowódcy plutonu Pod Leninsradem deszcze były, że było dla wroga, ale i dla nas niedobrze. A tu trzeba było z wielkich pni zbudować dobra drogę, która służyłaby obleganemu miastu, trzeba było wyznaczyć przez mokradła 30 kilometrów. Tamteży szła później broń i żywność tamteży przedzierali się ludzie w obie strony. Saper jest od tego, od najszybszej i najsilniejszej roboty. Pozrywane mosty zombardowane drogi a po nich musi przejść ciężki sprzęt. Od tego wszystko zależy. Zapory przeciw czolgom, aby nie weszły do Moskwy i tak wciąż nasz samodzielny batalion się zasługiwał. Rana była w głowie ale wnet się wyleczyłem. I wtedy przygotowywała się obrona Stalingradu: młodzi i starzy komuniści dobrze wyszkoleni żołnierze zabierano nas z poszczególnych jednostek. Krótkie przeszkolenie dodatkowe i skierowanie na stalingradzki front, do udziału w kontrofensywie. Ale w przeddzień wyjazdu z Saratowa

rozkaz został zmieniony. Nakazano mi pozostać i stawić się w Gorkim, w filii fabryki samochodów ciężarowych.

Kiedy w Sielcach zaczęła się kształtować 1 Dywizja im. Tadeusza Kościuszki, pożegnano Szawdzina w fabryce, dano odpowiednie napiery w Rejkomacie i już jechał z Gorkiego do Moskwy, a ze stolicy w kierunku Sielc.

— Tam już wojsko, tam ćwiczenia zaczynały się od maja. Umundurowanie mieszane, furazjerka z o-rzełkiem, bluza i spodnie radzieckie. Dopiero potem z fabryk nadeszło prawdziwe i na naszą modłę. Nauczony byłem myśleć politycznie, przedtem w rodzinnej wsi, potem w Komsomole i fabryce, to i się zastanawialiśmy, jakie to wojsko będzie, czy to samo, co do trzydziestego dziewiątego? Jaka Polska z tego wyniknie? Powoli się wyjaśniało, że po mojej myśli. Cieszyło, że polska mowa znowu na co dzień, że nie ma głupich żebek, ani chowania w kocu zapinki, czyli uroczystych pogrzebów każdego żołnierza, które spostrzeżł podoficer, nie było upokarzania i pniebienia żołnierza, ale dyscyplina, ale harowanie, które będzie w hołu naprawdę potrzebne. Naszych oficerów na lekarstwo, bo poszli z Anderssem, więc dużo radzieckich. Ooh, jak ten podporucznik Antoni Słowczyński chciał dość do miasta swojego ojca, do Zamościa, jak on orzekał zobaczyć te nasze ziemie, chociaż urodził się w głębi Kraju Rad. gdzie rodzice no dziewięćset piętym zostali zesłani przez cara. Nasza kompania poszła pod Lenino mocno do przodu, a ciekawym uszły w jakieś tereli. On wrócił po nie i już tam zginął za starą ojczyznę...



Jerzy Szawdzin

— Mierzeja nie jest szeroka, ale kiedy przyszedł rozkaz, trzeba było do niej iść przez mokradła, przez bagniste mocno tereny, a Niemcy byli na pagórkach, na suchych miejscach i dobrze okopani. Trzeciemu pułkowi i naszej kompanii w szczególności wypadło tak iść ku tej rzece w mozole wielkim i utrudzeniu. I jest obstrzał nad nami, i w tej niegłębokiej rzece po pas, a czasem powyżej, i potem właśnie na wyższy brzeg, ale na tym kawałku wróg się nie bronil. Na Białorusi albo ołcha rośnie, albo jest teren mokry i płaski. Wehodził w okopy niemieckie i szukujemy bagnety,

Nie po raz pierwszy rozmawiałem z tymi, którzy walczili w pierwszej wielkiej bitwie odrodzonego wojska. Generalnie każdy rozmówca naświetla atmosferę nocy z jednością przedziwną podobnie, te same uczucia zawładnęły sercami żołnierzy, orientacja o przebiegu samej dwudniowej bitwy także tryknie w miarę podobną i do relacji pułkownika Włodzimierza Sokorskiego w książce „Polacy pod Lenino”. Interesują mnie jednak te drobne różnice, indywidualne przeżycia na swoim małym odcinku.

ale oni już stamtąd odeszli przed siłą, co na nich zła. Przeskakujemy jeden okop, drugi, idziemy mocno do przodu. Zeszliśmy z tego pagórka pod zagajnik ołchowy i słyszemy pojedyncze strzały w naszą stronę, a najdziwniejsze, że dochodzi nas niemiecki szwargot. Nie wiemy, że dowódca Słomczyński zabity, że jego zastępca Bławdzin ranny w głowę, ale trzymamy się dowódcy plutonu podporucznika Szycki, co służył jeszcze w carskiej armii i w przedwojennej. I on nas ratował z tego za szybkiego wejścia w niemieckie pozycje, bo łączności po bokach nie było, a po lewej nie udało się jej nawisnąć nawet później. W tej okolicy niemieckie baterie przeciwpancerne i moździerze. W rowach po-niemieckich już nasza artyleria. Cofamy się na czas i potem nie pozwalamy się już nieprzyjacielowi przedrzeć przez naszą linię. A z prawej wołają: „Szawdzin, daj granaty, bo się wdzierają!”

— *Stucham o kapralu, który pobiegł z tymi granatami w ostatniej chwili, ale gdy wrócił — zginął blisko swego dawnego stanowiska. Stucham o tym, że to wyprzedzenie może uratowało kompanię, bo lotnicy niemieccy rzucili bomby i strzelali na tym odcinku z maszynowych karabinów pokładowych po pustym miejscu, artyleria także rzucała pociski tam, gdzie zapewne Polacy powinni byli w tym czasie przebywać. Nie tylko to pomyłkę popełnili tego dnia Niemcy, bo zombardowali też swoich na jednym pagórku, z którego cały poprzedni dzień snajperzy i cekaemy czyniły największe spustoszenie w polskiej kompanii.*

— *Długa jest opowieść o bitwie pod Lenino, o masakrze z powietrza i od artylerii, o żołnierskiej wytrwałości, o chracie krwawym, który hartował tych, co przeżyli do dalszych walk, o wywołaniu po dwóch dniach, a przyjęciu radzieckiej zmiany i późniejszych marszach pod Smoleńsk, by wreszcie dojść do Bugu. Mieli w uszach słowa urwania radzieckich towarzyszy broni: Nu, oły, wy pokazali, czto, umiejecie zdielat! I wreszcie jest ten zaperski most na Bugu w Dubien-ce, jest Chelm, w którym do ręki kapral Jerzy Szawdzin wziął kartkę papieru z Manifestem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i przeczytał potwierdzenie tego wojskiego, o czym nauczali ich oficerowie już w Sielkach i później, także w Kiwercach. Słyszę jeszcze o przejściu przez Lublin, o oczekiwanych walkach o Wisłę i kolejowy most w Puławach, o przyznawanym awansie na plutonowego. Ale bombardowanie za Jastkowem jest przyczyną ran w obu nogach i konieczności leżenia w szpitalu lubelskim przy Alejach Raclawickich, którymi tak niedawno jeszcze maszerował i opładał niemiecką klęskę ułożoną w zwalny trupów na poboczu ulicy. Nie ma już powrotu na front, bo zaczął się front niespodziewany na miejscu. Przyszedł rozkaz przejścia do służby w rezerwie bezpieczeństwa publicznego. Wraca jednak ożywienie, gdy major Jerzy Szawdzin mówi znowu o tam-tym dniu przemarszu przez Lublin.*

— *Myśmy zdawali sobie sprawę, że to nie była zwykła defilada. Myśmy to czuli i ludzie dali nam to odczuć. Oni mieli w oczach całą wojnę, całą poniewierkę i to, co widzieli przed nami na Zamku, co Pod Zegarem, co na Majdanku. Wtedy się inaczej to wszystko przeżywało. Szło radzieckie wojsko, szło polskie. Ludzie nas witali. To było prawdziwe wyzwolenie i koniec utrapień, szli żołnierze wolności! Ludzie cieszyli się na chodnikach tysiące witających. Na kronice Ilmowej nawet przez chwilę gdzieś tam miga i poznać mogą, że to ja z kolegami i pułkownik — późniejszy generał — Aleksander Zawadzki. To była masowość powitania, to było wielkie święto kwiatów wiele: w rękę nieśliśmy i na karabinach. I tak szliśmy przez środek miasta, przez najgłośniejsze ulice. Tak, to było wielkie święto.*

Tadeusz Jasiński



Fot. Archiwum

„To było jakby wczoraj... Manifest, Cheim Luotowski, spalone wsie i lipiec od kurzu apoplejaty, rozbite w polu bunkry i czolg nieprzyjacielski... I zły ból i radości... I gniew zapamiętany!”

TAK pisał po latach Leon Pasternak wspominając czas, kiedy wraz z zespołem Teatru I Armii Wojska Polskiego, jako jego kierownik literacki, przemierzał na szczytach wojennej szeregówkę szosę wiodącą do Lublina. W dopiero co wyzwolonym mieście stał ocalały z wojennej pogody gmach teatralny, gdzie wkrótce, na grząskich deskach scenicznych, miało się odbyć pierwsze przedstawienie.

„Lublin 1944 r. — pisał — innym miejscu autor książki „W marszu i na biwaku” — miniaturowa stolica Polski i PeKaWueNu, ezaca w odległości kilkudziesięciu kilometrów od frontu. (...) Nie miałem wówczas jeszcze przydzielonej kwatery, nocowałem z aktorami na deskach piwnicy w gmachu teatralnym Teatru Pierwszej Armii, grywał wtedy stale dwa razy dziennie, na popołudniówkę dając montaż mój pt. „Z pieśnią do kraju”, a wieczorem „Śluby panienskie”. Supernadkomplety urągały wszelkim przepisom bezpieczeństwa i wciąż działo się to samo. Łzy, owacje i całe narecza kwiatów rzucanych na scenę”.

Pierwsze przedstawienie teatralne na wyzwolonym skrawku Polski to była właśnie składanka estradowa. Przechodził się nad tym faktem jakby mimochodem, zwracając uwagę na bardziej „teatralne” przedstawienie „Ślubów panienskich” Aleksandra Fredry, a właściwie ich fragmenty, które Teatr I Armii Wojska Polskiego zaprezentował w dwa dni później. I to już nie na scenie Teatru Miejskiego, ale w sali widowiskowej Domu Żołnierza.

O ile można ostatecznie zgodzić się na taki stan rzeczy jeśli chodzi o literaturę pamiętnikarską, to dziwne się wydaje, że data przedstawienia „Z pieśnią do kraju” jakby się wymykała autorom tekstów i książek źródłowych. W fundamentalnym dziele o polskim życiu teatralnym w latach II wojny światowej — „Teatr czasu wojny” Stanisław Marczak-Oborski w zawartym tam „Kalendarium” ograniczając się „jedynie do tych najważniejszych bądź najbardziej charakterystycznych faktów, których daty dzieńne udało się ustalić” — stwierdza, że 1 sierpnia 1944 r. Teatr I Armii wystawił w lubelskim Domu Żołnierza „Śluby panienskie”. Tego samego dnia „lotne brygady artystyczne Teatru Dąbrowszczaków występowały w strefie frontowej” w rejonie Puław.

W tej samej książce Marczak-Oborski publikuje zdjęcie afisza teatralnego zapowiadającego przedstawienie „Z pieśnią do kraju” w dniu 29 lipca 1944 r., w Teatrze Miejskim w Lublinie. Pomija tę datę autorka wydanej niedawno „Melpomeny walczącej” — Jadwiga Korzenkowska, nie mówiąc już o niewybaczalnym przeoczeniu Tadeusza Ch. brosa, który w swej „Kronice wydarzeń w Lublinie — 21.VII.1944 — I.II.1945 (Wydawnictwo Lubelskie 1974 r.)” wzmiankę o występach Teatru Wojska Polskiego w Lublinie zamieszcza dopiero pod datą 14 sierpnia...

W naszej wiadomości ze słowem „teatr” w pierwszym okresie Polski Lubelskiej kojarzą się przede wszystkim przedstawienia sztuk teatralnych: „Śluby panienskie”, następnie — „Moralności pani Duńskiej”, „Jeńców” Rydla, „Muzyki na ulicy” i „Uciekla mi przepióreczka” Zeromskiego — w wykonaniu lubelskich aktorów pod kierownictwem Józefa Klejera. I wreszcie: premiera „Wesela” Wyspiańskiego z 29 listopada 1944 r., którą wystawił Teatr Wojska Polskiego, i którą uważa się jakby za oficjalną datę narodzin teatru w Polsce Ludowej.

Trzeba jednak przy tym pamiętać, że dla tzw. szerokiej widowni, dla tysięcy ludzi rozsiadanych po wsiach i miasteczkach Lubelszczyzny teatr przynoszący ze sobą piosenkę i poezję patriotyczną, mówiący o końcu okupacyjnego koszmaru w sposób wzniósł i w sposób wesoły, kpiący z wroga lub wzbudzający gniew za dokonane przez okupanta zbrodnie, oznajmiający, że oto odradza się Polska — to były liczne teatryki wojskowe, powstające z dnia na dzień teatryki dywizyjne, lub działające „przy wojsku” zespoły amatorskie, docierające wszędzie i o każdej porze. Wojsko więc przede wszystkim było w owych pierwszych dniach wolności dostawcą wzruszeń artystyczno-patriotycznych i krwawym kultury na Lubelszczyźnie. Z przeprowadzonych przed kilku laty i nie publikowanych szerzej badań mgra Jana Smolarza, pracownika Biblioteki im. H. Łopacińskiego w Lublinie, wynika np., że to właśnie dzięki wojsku we wsiach i miasteczkach po-

wiatu lubartowskiego od 23 lipca 1944 r. do 31 sierpnia 1945 r. wyświetlono 51 filmów — w tym m.in. 14 radzieckich i 15 amerykańskich — które obejrzało ponad 85 tys. osób. A ile przedstawień dały wojskowe teatryki i satyryczne scenki przenoszące się w pocie czoła od jednej świetlicy strażackiej do drugiej? Od świetlicy do sali parafialnej lub na klepisko zwyczajnej chłopskiej stodółki?

Przedstawienie „Z pieśnią do kraju”, z którym Teatr I Armii Wojska Polskiego wmaszerował do Lublina, było jakby przedstawieniem modelowym, obliczonym na gust szerokiej widowni, od mas żołnierskich po miejski proletariat i inteligencję. Brały z niego wzór — a także liczne teksty i piosenki — inne teatryki i scenki żołnierskie. Estradowa składanka zawierała utwory wybitnych polskich poetów, jak i teksty pisane przez znanych pisarzy współczesnych idących w szeregach I Armii — Lucjana Szenwald, Adama Wazyka, czy Leona Pasternaka. Wreszcie — rzeczy tworzone ad hoc, z potrzeby chwili, jak choćby przez aktorów i reżysera Jerzego Waldena. Obok słów wyszukanych i wzniosłych plasował się bez wady dosadny humor żołnierski. A

pierwsza czynność po przyjeździe do wyzwolonego miasta — to była pomoc przy grzebaniu zmarłych, leżących jeszcze na wieziennym dziedzińcu...

Na scenie dzisiejszego Teatru im. Osterwy stanął w sobotę, 29 lipca 1944 r. O godzinie 15-tej „Reprezentacyjny Teatr I Polskiej Armii” — jak głosiły afisze rozlepione na murach miasta — wystawił „montaż literacko-muzyczny pt. „Z pieśnią do kraju” przy udziale całego zespołu. Afisz informował jeszcze, że dyrektorem teatru jest Włodzimierz Stahl, kierownictwo artystyczne spoczywa w rękach Władysława Krasnowieckiego, kierownikiem literackim jest Leon Pasternak, muzycznym Andrzej Barchacz, a dekoratorem — Jan Hollender. „Czysty dochód przeznaczony na pomoc dla poszkodowanych”.

Jak wyglądało to pierwsze przedstawienie? Ryszarda Hanin tak je wspomina: „W drodze do kraju przyzwyczailiśmy się do najróżnorodniejszych reakcji widowni: śmiechu, płaczu, braw, napięcia, entuzjazmu. A tutaj panowała cisza, jak makiem zasiał (...). Tak było do połowy programu, do momentu, w którym na scenę weszła Halina Billing z wierszem Pasternaka „Opowieść”. (...)

Z pieśnią do kraju...

Mirosław Derecki

wszystko to spowijała melodia patriotycznej piosenki: rzewnej „Oki” czy potężnego „Marszu I Korpusu”. Były wiersze traktujące o tęsknocie za Ojczyzną i opowiadające o cierpieniach narodu w czasie wojny, były wreszcie takie, które mówiły o rychłym dojeździe do Berlina. Wydaje się, że taki właśnie zestaw, taka rozmaitość „tematyczna” i „formalna” najwłaściwiej, najmocniej i najpełniej przemawiała wówczas do publiczności. Płynąca ze sceny klasyka teatralna była traktowana jak narodowa świętość: estrada łatwiej pomagała wczuć się w płynącą wokół wzniosłą rzeczywistość...

Program — „Z pieśnią do kraju”, tworzony pod artystycznym kierownictwem Władysława Krasnowieckiego, powstał w maju 1944 r. na Ukrainie i był składanką z trzech dotychczasowych programów Teatru I Dywizji (następnie Teatru I Korpusu) zwanego najpopularniej — „Teatrykiem z Tęczą” — od elementu dekoracyjnego, który stale towarzyszył pierwszym inscenizacjom. Otwierał go wiersz Władysława Broniewskiego „Żołnierz”. Druga część przedstawienia, bardziej „rozrywkowa”, zawierała m.in. wodewil „Bal u saperów” Leona Pasternaka. Autorem ilustracji muzycznej był Aleksander Barchacz. Powrócił także tutaj na deski sceniczne stworzona we wcześniejszych programach przez Jerzego Waldena postać „Ofermy”, z tym jednak, że kreowała ją młoda adeptka sztuki aktorskiej Ryszarda Hanin jako „Oferma-fizyjerka”.)

W tym samym mniej więcej czasie Krasnowiecki przygotował „Śluby panienskie” w oparciu o egzemplarz sztuki znalezionej w jednej ze wsi pod Żytomierzem. Premiera tej sztuki odbyła się 1 lipca 1944 r., a grali w niej m.in. Marian Nowicki, Władysław Godik, Ryszarda Hanin, Halina Billing, Irena Krasnowiecka i Władysław Krasnowiecki — tworzący zresztą trzon zespołu Teatru I Armii. Ci sami aktorzy występowali w „Z pieśnią do kraju”. W kilka tygodni później właśnie aktor Teatru I Armii, Marian Nowicki, miał być tym człowiekiem, który odczytał publicznie w Chełmie treść Manifestu PKWN. Tutaj też teatr dał pierwsze swoje przedstawienie na polskiej ziemi...

25 lipca wkroczyły do Lublina oddziały Armii Ludowej, w dzień później — regularne oddziały I Armii Wojska Polskiego z generalami Zygmuntiem Berlingiem i Aleksandrem Zawadzkiem na czele, a 27 lipca byli już w Lublinie aktorzy w wojskowych mundurach! Tego dnia nie dawali przedstawienia. Przyszło im uczestniczyć w smutnym obrzędzie: pogrzebie więźniów pomordowanych na Zamku Lubelskim. Ich

naraz widzimy, że na widowni powstaje panika, ludzie zrywają się z miejsc, rzucają do drzwi, sycząć szloch, histeryczne okrzyki... (...)

„Nie wybierz już matce z pamięci tego słowa — przekleństwa: Oświęcim”.

Pasternak pisał te słowa w głębi Związku Radzieckiego, w 1942 r., kiedy przyszło mu marzyć tylko o drodze do Ojczyzny. Dzisiaj, gdy stał już w jej wrotach, Oświęcim wciąż jeszcze dymił i przypomnienie o jego istnieniu wywołało u upajających się już wolnością ludzi, taką właśnie a nie inną reakcję...

Ale płynęły przecież tego popołudnia z estrady i inne słowa:

„Nie pomoże ci Hess,
nie pomoże SS,
ani Waihalla, ani Wołany,
przyjdzie kres i na fest
będziesz bity jak pies,
będziesz bity, a potem kopany.
Nie pomoże ci Frick,
nie pomoże ci Glick,
nie ocala cię też SA-many,
ani krzyk, ani trick
będziesz bity jak nikt,
ten twój Krieg będzie sicher
przegany (...).”

1 sierpnia Teatr I Armii przeniósł się na scenę Domu Żołnierza i grał tam codziennie — na popołudniówce „Z pieśnią do kraju”, a na przedstawieniu wieczornym — „Śluby panienskie”. W drugim numerze powstałej właśnie „Gazety Lubelskiej” ukazującej się jeszcze w... dwustronicowej objętości, pod datą 4 sierpnia 1944 r., zamieszczono już recenzję z „Z pieśnią do kraju”. Jest to pierwsza recenzja teatralna w Polsce Ludowej, zarazem świadcząca, jak wielkim wydarzeniem dla Lublina był występ wojskowego teatru:

„Przed wypełnioną po brzegi widownią występuje Teatr Armii Polskiej z widowiskiem zatytułowanym „Z pieśnią do kraju” (oczywiście — pomyłka zecera, powinno być: „do kraju” — MD) (...). Jakże piękna jest pieśń „o panu Kościuszcze”, bohaterze dwóch kontynentów, który w sukmanie chłopskiej chodził i „wolność ludowi zaprzysiągł”. Gorące oklaski wywołuje piosenka „Idziemy do kraju” (...). Mamy również wesołą, niefrasobliwą „Zabawę u saperów” i na zakończenie przepiękną pieśń o ukochanym dowódcy — generale Berlingu. I każdy, kto umie wsłuchać się w te pieśni, wie, że wyzwolenie Ojczyzny w dobrych spoczywa rękach”.

Już 4 sierpnia w Domu Żołnierza wystąpił reprezentacyjny zespół pieśni i tańca I Frontu Białoruskiego Armii Czerwonej składający się z orkiestry, 40-osobowego chóru i 20-osobowego zespołu tanecznego, prowadzony przez J. Szejnina i P. Wirskiego. To już był ansambl muzyczno-taneczny całą gębą, jakiego Lublin chyba do tej pory nigdy nie oglądał. Cieszyły się też występy



Zespołu ogromnym powodzeniem, a szczególnie brawa otrzymywali występujący w intermedjach komicy, para: Gal-kin i Maczalkin.

Lubelski, przedwojenny jeszcze Dom Żołnierza, przemianowany wkrótce na Centralny Dom Żołnierza, stał się szybko przybytkiem sztuki estradowej. Oprócz zadowolonego tutaj wojskowego teatryku kukielkowego pod kierownictwem ppor. J. Pappé, rozpoczęły działalność liczne teatryki estradowe. Już 28 sierpnia 1944 r. ukazało się w miejscowej prasie ogłoszenie: „Poszukuje się aktorów, śpiewaków, muzyków, tancerzy i dekoratora dla Teatru II Armii. Zgłoszenia do administracji „Rzeczpospolitej” pod: „Teatr”. Warto odnotować że ogłoszenie to ukazało się w „osiem (!) dni po wydaniu przez Naczelnego Dowódcę Wojska Polskiego rozkazu o formowaniu II Armii. Jakóż upłynął ledwie miesiąc, a Zespół Artystyczny II Armii prezentował już w Domu Żołnierza premierę montażu literacko-muzycznego: „Bo najpiękniejsze, to żołnierska brać” — „w wykonaniu aktorów orkiestry jazzowej i orkiestry salonowej zespołu”. Kierownikiem artystycznym był Zdzisław Lourier, a kierownikiem muzycznym — Adam Cichoń.

A już 2 września odbył się w Domu Żołnierza występ artystyczny prezentujący młodych artystów pretendujących do tworzonego tutaj Teatru Żołnierskiego. „Najlepiej zaprezentowała się mała, lecz zgrana orkiestra pod batutą Paszkiety. Szereg pieśni odśpiewał chór pod batutą prof. Markowskiego”. Szczególnie wyróżnili się młodzi soliści: Bogdan Paprocki (tenor), Soszyńska (sopran) i Rucki. Któż w latach następnych o nich nie słyszał?

Szczególnie zaś podobał się młody pianista, Ryszard Schreiter, który odegrał wianek pieśni żołnierskich własnego układu... Niezapomniany „Ryno” — uroczą postać, miłośnik muzyki, teatru, a przede wszystkim kina — przedwcześnie zmarły późniejszy wieloletni kierownik muzyczny Teatru im. Osterwy. Jego kariera rozpoczynała się w takich właśnie zespołach, w pierwszych „rewiach” granych w Domu Żołnierza, w zespołach estradowych przebiegających pod opiekunym skrzydłem wojska Lubelszczyzny. Nie zawsze najwyższej może jakości, ale zawsze pełnych zapału i poświęcenia. Mieszkańcy małych miasteczek witali ich zawsze serdecznie, „orąco i nagradzali długotrwałymi owacjami. Nieśli im piosenkę o ojczyźnie i orły na czapkach „wyjściowych”, żołnierskich polówek. Oni poznawali ich pierwsi z magią teatru i oni budzili w nich fascynację sceną. Wtedy przeżywało się teatr naprawdę spontanicznie... Miałem dziesięć lat, kiedy po raz pierwszy w życiu doznałem owego uczucia więzi łączącej scenę i widownię. Scenę podlubelskiego miasteczka, brudną, z naderwaną kurtyną, rozświetloną nikłymi płomykami kilku-nastu świec...

Na scenie odbywał się recital starszej, tegiej, emerytowanej już chyba przed wojną śpiewaczki. W podniszczonej, różowej, jedwabnej sukni odbywała swoje spóźnione o lat wiele — tournée. Ale nam jej głos przebrzmiał — nie przeszkadzał. I pamiętam, że gdy w ów sierpniowy wieczór popłynęły w salę słowa „Roly”, sala zerwała się z miejsc i śpiewała razem z artystką. I widziałem łzy płynące po twarzach publiczności i po twarzy artystki.

Tak, w tych dniach najważniejsze były płynące ze sceny treści. Forma była mniej ważna.

* Jadwiga Korzenkowska. „Melpomena walcząca”. Warszawa 1977.
** Op. cit.

MISTRZOWIE POLSCY

PROLOG

ojezyny mojej pospolitej rzeczy synowie
mistrzami są we wszystkim co robią
ciepla im trzeba tylko
by rozkwitli jak kwiaty
serdeczności wielkiej by człowieczeństwem błyskali
nie chcą wiele
uśmiechem na uśmiech odpowiadają
ręce czerstwe mają twarze w bruzdach epok
lagodni są
ojezyny mojej pospolitej rzeczy synowie
wiele już przeszli doświadczenia ich uczą nas
czeladników rzeczywistości zastanej
nam tylko trzeba mądrości w jej zmienianiu
bo mistrzostwo i mądrość idą w parze
jak ład ręki i rozumu
pochyliłam się nad kamieniem żelazem wodą drzewem
ogniem ziemią i drugim człowiekiem
słucham co mają do powiedzenia szeptem
i szept w krzyk przetwarzam
z pokorą pochylałam się nad żyłastą dłonią
z linii odczytuję wiersz

KAMIEN

I

drzenie jest przy kamieniu człowiek drży
ale nie jak osika drży przy ogromie
józef jancecki niewysoki jak janosik
po skale skacze nie z ciupagą z pneumatycznym młotem
księżycowa kraina granitu nie jest martwa
kamień jęczy z bólu gdy człowiek
podchodzi do niego z młotem i klinem
kamień duszę odsłania odskakując od monolitu
ziemia drży człowiek przy niej jak pan
okiem władcy patrzy na granit nie cieszy się
klnie ze zmęczenia
po słoju równo blok odchodzi niechętnie
nie pozwala człowiekowi spojrzeć sobie w twarz
aż się oko do skały śmieje józef jancecki skalnik
patrzy przymrużonym okiem na granit
jest między nimi niepisany sojusz
jeden drugiemu nie robi świństwa
nie obsunie się ani nie skaleczy
a tu już dnia brakuje nocy brakuje
czasu niewiele na radość bo dookola
jak morze granitowa ojczyzna powinności
faktura kamienia lza kamienna zastyga
oio człowiek urósł jak walgóra
i zmaga się z setkami ton milczenia
cisza
tylko huk wysadzanej skały wwierca się w uszy
oio człowiek znów sprawdza się w sekundzie

II

różni są ludzie i wiersze też różne
jedne w kącikach ust kryją uśmiech
inne w togę ubrane szukają
ja nie wiem i nie wstydzę się niewiedzy
błądzą — po drodze wyskakują metafory
z worka świętego nikolaja który poblądził
i wiosną zdążył przyjść do mnie
różne są wiersze i różni ludzie je czytają
chciałbym napotkanemu w drodze odczytać wiersz
nieporadny jak pierwszy raz zakochany
z głową na bieżących rękami na równiku
ogarniam rozkochanymi oczami świat
stąd gdzie jestem nie można się odbić
w oczach stojącego naprzeciwko czytam drwinę

III

człowiek obok kamienia z młotem i klinem
ma w głowie układany kształt pomnika
wykuwa trwanie
jurek froneczyk rzeźbiarz w białej mariannie
marmurze kuje zwycięską nike

twarz nike piersi nike ręce nike miecz nike
i śni mi się w nocy żywa bogini
która dłonie przyciska do piersi
z pytaniem w oczach niewidzących
gdzie się podzieli bohaterowie którym ma służyć
bo przecież jest potrzebna skoro powołano
ją do życia z głębin nieistnienia
gdzieś są ci z jej imieniem na ustach
pobiegna naprzód i się nie cofną
więć krzyczę i zrywam białą pościel snu
ale widzę tylko kamień białą mariannę marmur
i uspokojony wracam do łóżka

IV

tylko woda jest mocniejsza od kamienia
prowadzi nieublaganą wojnę podjazdową
wymywiając włókna kamienia nadaje mu
kształt ostateczności
człowiek unaocznia rzecz rzecz unaocznia człowieka
jedno drugiemu nadaje sens w braku znać pustkę
ona człowieka zapelnia przedmiotami
bo wszystko musi mieć miejsce przynależne jednej rzeczy
taką jak kamień woda żelazo drzewo ziemia
które poprzez człowieka
nabierają sensu istnieją

V

kamień jest nawet mówić usiłuje
tylko nasze głuche uszy nie reagują
na jęk kamienia toczonego przez wodę

a to przecież nasza historia bo człowiek
zastał kamień podporządkował sobie żelazo
drzewo i wodę nauczył się
na pamięć a we wszystkim co nas otacza
tyle cierplivej mądrości trwania siła
zachwyłt przenika gdy się patrzy na granit

VI

kamień wielka metafora w dziejach świata
latwość i wielkość interpretacji na cmentarzach
ma swoją wagę masę znaczenie zmusza do spojrzenia
głaz stoi przez tysiąclecia mówi tylko słuchać
a usłyszysz historię ziemi banal i heroizm istnienia
ilu spraw był świadkiem kamień ilu potknąć
jakie wyroki słyszał i nie przeszkodził
jacyż wodzowie przysiadali na nim by spocząć
jakaż krew spływała swoja obca
przed boskim sądem też nie przemówi
przedpiekany ogniem piekielnym milczał będzie
żadne okrucieństwo nie pozbawi go istnienia
najwyżej młot można nad nim podnieść
rozsypie się w tysiąc kawałków i będzie milczał

VII

„Jeż jeżeli dotknę
blizny kamiennej
twoje ciało mi odpowiada”

idę starymi alejami cmentarzy
kirkutu w lesku
prawosławne krzyże witają mnie
pokłonem starości na cmentarzach w lublinie
tu i tam kamień ma przypominać
tych których już nie ujrzą oczy moje
tych których dotknąć mi nie będzie dane
ani sposobności do ujrzenia uśmiechu
cisza zimą i wiosną latem i jesienią
obojętność pół roku
sprzyja myśli biegu
tak chciałbym ujrzyć mądrość
w torze i biblii psalmach
ujrzeć sprawiedliwość z mieczem w ognistej dłoni
tylko na cmentarzach kamień martwy stoi
dotknięcie go chłodem przemijania jest
a ulicami obok teraźniejszość biegnie
śmierci niepomna
kamień ostał się czasowi
na nic spekulacje co było a nie jest
kamień w sercu kamień w dłoni
serca kamień wyrwać i rzucić
na oślep przed siebie

EPILOG

kamieniem w łeb łeb jak kamień
kamień wylania się z epok drzewo obok
jedno i drugie w wodzie potem dopiero przyszło
żywe ale nie wobec martwego
kamień pod nogi kamień pod cokoły kamień
w ręku ożywa skrzy się w palcach józefa janceckiego skalnika

ZAPISKI NA 27 VI 1978

„Przez nadzieje do gwiazd” — mówili Rzymianie. Oni mieli tylko nadzieje.

To prawda, że bez nich nie ma wiedzy. Bez wiedzy — wzmożenia człowieka.

Różnie dziedzina ludzka: geografia powiększona o niebo.

Człowiek zaczyna uprawiać mo-

rze. I pokrywać okoloziemską przestrzeń siecią komunikacji.

Sojuz-30 i Salut-6 niosą egzamin Ziemi: jak zachowuje się rzeź, kadź i tellur w warunkach nieważkości.

Bada się wpływ pobytu w stacji kosmicznej na organizację wolnego

czasu. „Dzień powszedni w kosmosie”.

I my mamy kosmicznego zwiadowcę. I Polska bliżej gwiazd. Duma narodowa. Ale nie może być większa od dumy ludzkiej.

Mirosław Hermaszewski — pierwszy z Polaków, który ujrzał okrągłość Ziemi. Podręczniki historii zanotują, że było to dnia 27 czerwca 1978 roku.

Tak, w przestrzeni pozaziemskiej było już 89 kosmonautów. I my — tu na Ziemi — trochę przywykamy. Jednak za każdym razem jest to możliwość nowej przygody człowieka we wszechświecie. Otwarcia nowych perspektyw.

Opanowanie planet może nie usunąć granic politycznych na Ziemi.

Na pewno usunie zarzewie niechęci narodowościowych. Taka będzie „zemsta kosmosu”.

Ludzkość — to pojęcie zmniejsza się, czy większa z postępem podboju wszechświata?

„Odwieczne gwiazdy”. Są już gwiazdy, które leżą zaledwie kilka lat.

Medycyna? Tak. Również kosmonautyka jest nauką humanistyczną.

To dziwne: wiek XIX trwał do drugiej wojny światowej. Wkrótce po niej zaczął się wiek XXI. Co powieją wieki następne? Czy dla przyszłej ludzkości Ziemia będzie jedną z gwiazd oglądanych na firmamencie?



Wybitny młody Polak któremu szopa się spaliła

Maciej Podgórski



Fot. Zb. Jaśkiewicz

BIURA rolniczej spółdzielni produkcyjnej zajmują jeden pokój, wynajęty w domu rodzinnym jej przewodniczącego. Tadeusza Cymborskiego. Akurat obok zabudowań Cymborskich kończy się droga z Wojsławic do Turowca, a dalej już wertep i szczerze pole. Dom jest okazały, najładniejszy budynek prywatny we wsi Turowiec, a może i nawet w całej gminie Wojsławice. Piętrowy, murowany, elegancko otynkowany. W środku drewniane boazerie pociągnięte lakierem bezbarwnym, wszystkie potrzebne urządzenia cywilizacyjne z centralnym ogrzewaniem, kanalizacją, telefonem łącznie. Regały, wersalki, fotele. Z garażu pod budynkiem wychyla się wolga rocznik 74, kupiona jesienią ubiegłego roku za 200 tysięcy. W obejściu tunel foliowy kryjący nowaliki.

Ten dom jest życiowym dorobkiem rodziców Cymborskiego, którzy latami w ziemię turowiecką orali ciężko i mądrze, a teraz są na rencie. Tadeusz Cymborski, lat 28, opowiada sobie prosto. Urodził się. Cztery klasy w Turowcu, cztery w Hucie, technikum rolnicze w Okszowie. W wojsku nie służył. Był agronomem w Leśniowicach cztery lata, potem sekretarzem urzędu gminy od jej powstania w Wojsławicach. Przez półtora roku budowali z ojcem dom. Później został kierownikiem służby rolnej w Wojsławicach, a na ostatku, to znaczy z początkiem 1976 roku, przewodniczącym spółdzielni, którym jednak nie wie, czy będzie nadal, bo szopa spółdzielcza ze sprzętem się spaliła i rejonowy sąd w Krasnymstawie skazał go na 20 tysięcy grzywny, a stróża nocnego za to samo na pół roku w zawieszeniu. Chodzi o to, że Cymborski właśnie zatrudnił był stróża-sklerotyka, lat 78.

Tak w skrócie wyglądałaby historia Tadeusza Cymborskiego, który w dorocznym plebiscycie czytelników „Sztandar Młodych” został wybrany jednym z dwudziestu wybitnych młodych Polaków roku 1978, obok na przykład Pełki czy Łuszczka. I Cymborski widzi teraz, że tak zwane życie nie jest proste. Wpierw spaliła mu się spółdzielcza szopa, potem wybrany został wybitnym młodym Polakiem, choć do dziś nie wie, kto i kiedy zgłosił jego kandydaturę. A następnie wybitnego Polaka skazano, gdy przedtem szopa mu się spaliła, z winy stróża zresztą. Cymborski chwilami zastanawia się, czy to nie było złośliwe podpalenie, bo na spółdzielnię niektórzy ludzie postronni we wsi spoglądają okiem niechętnym i zawiśniętym, tak samo jak i na domostwo Cymborskich, okazałe i nowoczesne, aczkolwiek jeszcze nie całkiem w środku wykonane i górę trzeba pomalo-

wać. Ale dowodów nie ma, żeby to było podpalenie umyślne.

Cymborski powiada, że ja sobie nawet nie wyobrażam, jak to się wszystko kiepsko zaczynało z spółdzielnią. Był tu zespół rolników indywidualnych, młodych, którzy posiadali jeden ciągnik, stary, i zajmowali się produkcją roślinną. Od nich wyszła inicjatywa, jeszcze skrzyknęli parę osób i powołali spółdzielnię z początkiem 76 roku, zaczynając właściwie od woza-powroza, a niechętni sąsiedzi orzekli, że spółdzielcy pójdą z torbami szybko.

Dotąd nie ma zgrupowanych zabudowań gospodarczych. Zwierzęta stoją w wydzierżawionych obojach i stodołach. Jak ktoś przyjdzie, to zasadniczo nie widać spółdzielni imienia Kongresu Młodzi Polak. Teraz lato i jałówki wytrzymują w stodołach, jednak zimą należałoby stodołę ocieplić. Plan jest i trzeba wykonać, więc wstawili w zeszłym roku 200 świni i 10 procent padło, z klasnoty po prostu. Nawozy na świeżym powietrzu składują, pasze po strychach w oborach.

Szopa drewniana ze stróżówką to był cały magazyn, garaż i warsztat naprawy zarazem. Usługi w POM-ie zdrożały z 40 złotych za godzinę do 90 złotych, no i normy jakieś dziwne się stosuje, na przykład reperacja pompy paliwa tyle i tyle godzin, a choćby nawet trwała znacznie krócej, liczy się według normy. Więc spółdzielcy od początku sami starają się naprawiać sprzęt mechaniczny.

Alie późną jesienią zeszłego roku szopa im się zajęła i spaliła, prawdopodobnie od piecyka żelaznego, kiedy stróż nocny wyszedł do domu na kolację, pojadł i usnął. Razem z szopą spłonął ciągnik, żuk, części zamienne, narzędzia. Niestety na pół miliona złotych, i w sądzie rejonowym prokurator Domański domagał się dla Cymborskiego dwu lat pozbawienia wolności za przyjęcie do roboty stróża, który miał zaawansowaną sklerozę wieku sędziwego i do żadnej pracy się nie nadawał, jak orzekli biegli sądowi.

W związku z tym Cymborskiego nurtuje parę pytań. Czy gdy się przyjmie stróża do roboty, to trzeba go wpierw skierować na specjalistyczne badania psycho-fizyczne, jeśli na oko on się wydaje w porządku? Który sprawny mężczyzna na wsi zechce dziś zostać stróżem nocnym za 1000 złotych początkowo? Czy lepiej byłoby w ogóle nie zatrudniać stróża i pozostawić miśnie spółdzielcze w lichej szopie bez dozoru?

W każdym razie spółdzielnia nie ma teraz ani szopy ani stróża, a Cymborski odwołuje się do sądu wojewódz-

kiego, zresztą prokurator również. I jest kwestia, czy jakikolwiek wyrok skazujący Cymborskiego nie przyniesie więcej strat społecznych, niżli zysków wynikających z prewencji ogólnej? Są w Turowcu tacy, co cieszą się, że przewodniczącego spółdzielni skazano.

Cymborski, działacz GK ZSL, powiada, że spółdzielcza gospodarka musi agitować wynikami. Czasem nawet niby drobniejsze sprawy mają duże znaczenie. Porastał turowieckie pola najwredniejszy pod słońcem chwast, owies głuchy, bardzo trudny do wyplenienia. Cymborski dowiedział się o jakimś najnowszym środku chemicznym, zakupił, zastosował i chwast wymiotło ze spółdzielczej ziemi. Teraz nawet ludzie niechętni spółdzielni rozpytuja, gdzie ten środek można kupić.

Ze sprzętem mechanicznym już jest dobrze, szczególnie od czasu gdy honorowym członkiem spółdzielni został Feliks Brudziński, dyrektor naczelny lubelskiej „Agromy”. Cymborski, choć jak reszta spółdzielców młody, to w urzędowych sprawach zaprawiony i biegły. Wie, że gdy nie można inaczej, trzeba sposobem. Bądź co bądź, spółdzielnia ma siedem ciągników, minus jeden do kasacji, kombajn super bizon, stara 200, zuka, sieczkarnię samobieżną... Wprawdzie wszystkie sprzęt stoi pod gołym niebem, ale obrabia nie tylko spółdzielczą macierz, również okoliczne spółdzielnie i gospodarstwa indywidualne. Jest i szkopol. Spółdzielnia dopiero w przyszłym roku otrzyma nowe maszyny, a już tego roku jesienią musi przejąć 100 hektarów z Państwowego Funduszu Ziemi. Skończą się na razie zyski z usług mechanizacyjnych.

Tadeuszowi Cymborskiemu widziaby się, żeby rolnik nie potrzebował tak ciężko i okrągło tyrać, a mimo to wychodził na swoje. Żeby miał czas obejrzeć telewizję i nie zasnął przy tym z przemęczenia, a na wyżej z nudy. Żeby wyjeżdżał na urlop. Żeby mieszkał po ludzku. Do wszystkiego powoli można dojść, powiada, choć początkowo niektórzy członkowie z miejsca liczyli na olbrzymie pieniądze, że z końcem roku całą zarobioną forszę będzie się dzielić. Mysłili, że sprzętem spółdzielczym będą za darmo na swoich działkach robić. Nie znali zasad spółdzielczych.

Alie to się już przelamało. Powołali grupę remontowo-budowlaną, która ze środków spółdzielczych buduje bukalnię typu „Wielisławice”, bo członkowie nastawiają się ostatnio na bydlę opasowe. W budowie też dwurodzinny biżniak mieszkawny, chcą niebawem zacząć drugi, co by także rozwiązało sprawę biura i świetlicy.

Oczywiście, ciężko się pracuje w sezonie. Jak trzeba zbierać, to w niedzielę spółdzielnia nie pójdzie do kościoła, niech na Wielkanoc weźmie urlop i tydzień się modli. W zniwa nie ma przewodniczącego czy kierownika, wszyscy robią po równo. Kombajnście 10 kilogramów za zniwa z wagi ciała spadło, ale wyszedł na 18 tysięcy miesięcznie. Planowali dniówkę za rok ubiegły 135 złotych, a wypłacili 150. Bardzo dobrze wyszło.

W tym roku trzech spółdzielców było na wycieczce w Budapeszcie, kosztą pokryła spółdzielnia. I to właśnie zawiśniętych najbardziej boli. Ze ktoś z członków pojechał na Węgry czy do ZSRR, a choćby nawet w Bieszczady. Zardroszczą ludzie po prostu.

„Włożyłem dużo pracy w spółdzielnię, bo lubię rolnictwo — powiada Cymborski. — I wyniki mamy. Piony nie są niskie. Ludzie się dopasowali. Już jest łeż. Nie żałuję, że czasem trzeba z własnych pieniędzy komuś wódkę postawić, czy własnym samochodem pojechać. Takie życie, proszę pana. Do szczęścia potrzeba nam większych inwestycji”...

„Jagody” (Władysław Serafin). Napółkawszy asystujący „Alemu” (Aleksander Szymański) partyzanta „Razwiedkę” (Henryk Gryta), powiadomiła go, że w domu „Kamienia” (Kazimierz Książek) zjawili się dwóch uzbrojonych żołnierzy niemieckich. „Razwiedka” bez namysłu zdecydował się tę sprawę załatwić i porwałszy automat popędził do „Kamienia”. Kiedy wpadł do izby, obaj Niemcy siedzieli przy stole, zaś ich „schmeisery” stały w kącie. Na okrzyk „Hände hoch!” posłusznie podnieśli ręce i pozwolili się obszukać „Kamieniowi”, który zabrał im jeszcze pistolet i dwa granaty. Ponadto „Razwiedka” zabrał dwa niemieckie konie.

Pozostawiając jeńców pod strażą „Kamienia”, „Razwiedka” pomknął do sztabu. „Ali” przyjął jego meldunek gniewnym funkcyjkiem, ale mjr. „Grab” (Jan Wyderkowski) załagodził sytuację, argumentując, że „za godzinę i tak już tu nas nie będzie”. Zaraz też zarządził mobilizację pięciu parokonnnych podwódek.

Po odbyciu narady i zmobilizowaniu plutonu sztabowego dowodzonego przez „Korsarza” (Aleksander Bis) całość południowego członu kierowniczego AL i PPR znalazła się rano 25 lipca w Kol. Agatówka, położonej na wschodnim krańcu lasów gościeradowskich. Byli tu: sekretarz Obwodu PPR „Ali”, szef sztabu Obwodu AL mjr. „Grab”, oficer oświatowy kpt. „Kot” (Stanisław Szol), szef wywiadu Obwodu AL por. „Im” (Wacław Czyżewski), szef służby zdrowia „Znachor” (Michał Tempczyn), sekretarz Okręgu V PPR „Pola” (Wacław Marek), członkini Wojewódzkiej Rady Narodowej „Marta” (Adela Gadzińska) i przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej „Krzemień” (Franciszek Ojak). W ciągu dnia dołączył do nich dowódca I Brygady AL Ziemi Lubelskiej kpt. „Wicek” (Ignacy Borkowski) ze swym szefem sztabu por. „Poleszkiem” (Wiktor Strubiński). Przy grupie sztabowej przebywała też radiostacja ekipa wywiadowcza mjr. „Borysa” dysponująca radiostacją.

W lesie pod Agatówką wyznaczony został również punkt zborny konspiracyjnych plutonów AK i BCh z podobowodu „B”, pozostającego pod komendą por. „Andrzeja” (Piotr Iracki). Przeznaczone w skład jego oddziału dwa plutony BCh mieli utworzyć konspiracyjni żołnierze z Olbicięcina, Wólki Olbięckiej i Dąbrowy. Plutony te zebrały się w lesie olbięcim, dokąd przybył też por. „Andrzej”, obejmując dowództwo. Pod jego okiem utworzono plutony, na których czele stanęli: ppor. „Komar” (Juliusz Hejda) i wachm. Edward Bryczek.

Zaledwie ukończono formowanie nadszedł skądś meldunek, że z kierunku wioski Budki ma nadjechać niemiecki samochód sztabowy. Por. „Andrzej” natychmiast podjął decyzję zorganizowania zasadzki i w tym celu zarządził sformowanie drużyny ochotniczej. Ochotników było aż za dużo i po chwili kilkunastu partyzantów z erkaemem i pistoletem maszynowym pobiegło do rozwidlenia dróg prowadzących z Olbicięcina, Salomina i Budek. Niestety przy przekraczaniu szosy jeden z partyzantów, nazwiskiem Brzozowski, upadł rażony udarem serca i umarł. Mimo tego omenu drużyna zaczęła zajmować stanowiska. Jej główną siłą ogniewą stanowił erkaem, zaś drużyny „Wicher” (Bolesław Kowalski) przymerzał się z automatu. Ochotnik — kapral montował wiązkę granatów zamierzając wysunąć się z nią na skraj drogi.

Opancerzone auto sztabowe pojawiło się w polu widzenia jeszcze zanim partyzanci zdążyli zająć stanowiska. Ich ruch został zauważony, wskutek czego kierowca wozu dodał gazu i nadjechał w pełnym pędzie. Seria kaemu poszła za wysoko i samochód zaczął miąć stanowiska partyzantów. Niecelna była również seria „Wichury” wymierzona w koła pojazdu, zaś kanral ze swą wiązką granatów w ogóle nie zdołał wejść do akcji. Ostrzeliwane bezładnie auto oddaliło się szybko od miejsca zasadzki i wkrótce zniknęło na zakręcie drogi.

Wieczorem oddział por. „Andrzeja” przesunął się do lasów gościeradowskich pod Marynopol. Tutaj też nadejściem inne grupy z konspiracyjnych plutonów AK i BCh podobowodu „B”. Łącznie w lasach stan oddziału wzrosło do 102 ludzi. Z tajnych schowków przywieziono broń uzyskaną z rzutów brytyjskich — 2 erkaemy, 4 „stony” 30 granatów, materiały wybuchowe i miny. Dzięki tej dostawie na każdy z trzech plutonów przypadło 4—5 automatów i 1 erkaem. W kompanii znalazł się także karabin przeciwpancerny przedwojennej produkcji polskiej. Oddział otrzymał nazwę 10 kompanii 8 pułku piechoty.

Podczas tych prac organizacyjnych, w dniu 25 lipca, przed stanowiskami ubezpieczenia na skraju lasu pod Marynopol pojawił się niemiecki patrol złożony z 3 kawalerzystów. Dobrze zamaskowani partyzanci byli dla przeciwnika niewidoczni, toteż dopuścili Niemców na

dystans tak bliski, że kapral z 1 plutonu mógł wrzeszcze użytych do swojej wiązki granatów. Jednakże granaty nie wybuchły i dopiero kule partyzanckie skosiły jednego Niemca, co pozostałych skłoniło do poddania się.

Nie były to jednak pierwsze strzały, jakie padły tego dnia w lasach gościeradowskich. Na południowo-wschodnim krańcu leśnego kompleksu, pod Salominem, o świcie zatrzymała się 1 kompania I Brygady AL Ziemi Lubelskiej dowodzona przez por. „Lutka” (Ludwik Paszkowski). Kompania liczyła ponad 80 ludzi i dysponowała potężną siłą ognia. Przed kilku dniami w lasach liśskich, koło wioski Świdry kompania podjęła radiostację zrzut broni i amunicji, co podniosło stan jej uzbrojenia do 9 erkaemów, 40 automatów, 10 karabinów automatycznych, podczas gdy reszta ludzi była uzbrojona w karabiny zwykłe. Znalazła się też podjęta w zrzucie radiostacja rusznica przeciwpancerna — PTR. Tak więc rano 25 lipca partyzanci obsadzili wschodni skraj lasów gościeradowskich na przestrzeni ok. 4 km: 10 kompania AK por. „Andrzeja” — pod Marynopol, grupa sztabowa AL — w Agatówce i 1 kompania AL — pod Salominem.

Tegoż dnia oddziały niemieckiej 4 armii pancerniej rozpoczęły organizację przedmoście annopolskie, którego zadaniem było umożliwienie przeprawy przez Wisłę głównym siłom gen. Balleka, wycofującym się spod Krasnegostawu. Zamościa i Zwierzynca. Południowe skrzydło tej pozycji zostało wytyczone wzdłuż linii Zaklików — Zdziechowice — Węglin — Trzdnik — Dąbrowa, poza którą znalazły się oddziały AL i AK-BCh.

Już wczesnym rankiem w Salominie pojawił się niemiecki patrol łączności, ciągnąc wzdłuż drogi linię telefoniczną prawdopodobnie do stanowiska dowodzenia w Gościeradowie. Chcąc Niemcom przeszkodzić w wykonaniu zadania, partyzanci por. „Lutka” ostrzelali ich z południowej lizjery lasu. Ich pozycję od drogi dzielił dystans ponad 400 m, toteż nieprzyjaciel wyszedł spod ostrzału bez szwanku, musiał jednak z budowania linii zrezygnować.

Patrol łączności wycofał się w kierunku Zdziechowic. Spodziewając się reakcji Niemców na zaczepkę, por. „Lutek” pchnął 9-osobowy patrol ppor. Adama Kudra z zadaniem obserwacji w Salominie punktu, w którym droga przez wieś rozwidlała się w kierunku Agatówki. Patrol został wyposażony w 2 erkaemy typu „Diegtariewa” i rusznice przeciwpancerną, gdyż nieprzyjaciel mógł próbować zaskoczyć partyzantów wypadem broni pancernej z lasu położonego o kilkaset metrów za Salominem.

Zaledwie partyzancki patrol zdążył usadzić się w dwóch sąsiadujących obłędach, z lasu padły strzały. Nieprzyjaciel zaobserwował ruchy patrolu, ściągając do lasu jakąś

kompanię i podjął natarcie na Salomin. Gdy Niemcy wysunęli się z lasu, przywitał ich ogień „Diegtariewa” 17-letniego partyzanta z Polesia „Leszka” (Leon Michałowski) usadowionego wraz z amunicyjnym „Bolkem” za sąsiedni drzewa przy rozwidleniu dróg. Zawtórował mu zaraz drugi erkaem z lewego skrzydła, co odebrało Niemcom ochotę do natarcia i zmusiło do szukania schronienia w lesie.

Jednak po chwili na stanowiska partyzantów spadł silny ogień pod którego osłoną niemiecka kompania podjęła ruch oskrzydający patrol ppor. Kudra od północy, gdzie nie było żadnej obrony. Nie ufając milczeniu zabudowań wsi na tym odcinku, Niemcy ostrzelali je gęstym ogniem, powodując pożar kilku budynków i dopiero wtedy ruszyli w ich kierunku.

Nie widząc możliwości dalszego trwania we wsi, ppor. Kudra zarządził odwrót. Przez podwórka, pod

W momencie odchodzenia kompanii, niemiecka kula zraniła nieopodal „Leszka” partyzanta „Kole”, dzielnego Tatar. Widząc, że kolega nie może iść, „Leszek” położył się obok niego i od nowa uruchomił swój erkaem, gdyż Niemcy byli blisko. Ranny „Kole” również posiadał „Diegtariewa”, którego skutecznie użył. We dwóch zmusili nieprzyjaciela do cofnięcia się i dobrą chwilę trzymali go na dystans. Na ich szczęście por. „Lutek” zorientował się w sytuacji, zawrócił kompanię i energicznym atakiem zmusił Niemców do ucieczki. Dotarłszy do dwóch erkaemistów partyzanci zabrali rannego i razem odeszli do dalszej partii lasu.

Kiedy kompania por. „Lutka” toczyła walkę w lasach, grupa sztabowa przebywała w Agatówce. Zaalarmowane odgłosami bliskiego boju dowództwo zdecydowało się zmienić swe miejsce postoju i schronić się w lesie zwanym Węglińskie Doły, położonym koło Marynopol. Tu-

W lasach gościeradowskich

osłoną zabudowań partyzanci uszli w pola i biegiem pucili się w kierunku lasu, w którym por. „Lutek” rozwinął do walki całą swą kompanię. Jeszcze na polach patrol partyzancki został ostrzelany przez Niemców, którzy weszli do Salomina, ale znaczny dystans uchronił partyzantów od strat.

1 kompania była gotowa przyjąć nieprzyjaciela całą siłą ognia, ale Niemcy nie kwapili się do natarcia, ograniczając się do opanowania wsi. Żadna ze stron nawet nie strzelała i tylko pożar traw zabudowania Salomina. W takiej sytuacji upływał czas i dopiero po południu zerwały się strzały na tyłach partyzantów, w rejonie leśnej drogi łączącej Gościeradów z Agatówką. Jakiś oddział niemiecki, idący prawdopodobnie z całkiem innym zadaniem, zagroził 1 kompanii z nieoczekiwanego kierunku, ale zdradził swą obecność w lesie otwierając ogień do jakiegoś wyimaginowanego celu.

Por. „Lutek” natychmiast zwinął skrzydła i wycofał kompanię w głąb lasu, idąc Niemcom naprzeciw. Po niedługim czasie przeciwnicy zetknęli się w lesie, który natychmiast zatrzaskał się od huraganu ognia broni maszynowej. Partyzanci posiadali jej tak wiele, że ich uderzenie zrobiło na nieprzyjaciela ogromne wrażenie — przywitani lawiną kul Niemcy pierzchni w nieporządku, ponosząc znaczne straty. Po stronie partyzantów padł zabity dowódca drużyny w 1 plutonie kpr. „Stefan”, ktoś został ranny, ale szybko zajął się nim sanitariuszka „Zosia”. Któryś z partyzantów przyprowadził jeńca w słonni feldfebla. Drużyna po kor. „Stefanie” objął na polu walki młody „Leszek”.

Sukces partyzantów nie był trwały. Kiedy 1 kompania powróciła pod Salomin, Niemcy we wsi w dalszym ciągu zachowywali się biernie. Jednak w lesie nieprzyjaciel pozbił się po porażce i znowu podjął ruch w kierunku wschodnim. Zatrzymał go pozostawiony w lesie 3 pluton ppor. Derysiewicza, a dowódca natychmiast pośpieszył mu z pomocą z resztą swych sił. Tym razem Niemcy posuwali się w szerszym ugrunowaniu, zaś kompania por. „Lutka” zajęła stanowiska do obrony określonej. W głąb lasu znów rozgorzał silny bój ogniowy.

Drużyna „Leszka” wypadła pozycja w wysokich paprociach. Ponieważ ich chaszcze ograniczały widoczność, dowódca drużyny wstał i z tej pozycji prowadził ogień ze swego „Diegtariewa”, w czym drużynowego naśladowali jego podkomendni. Zgromił ich za to baczny na wszystkich por. „Lutek”, ale sam się przekonał, że innego sposobu prowadzenia walki w tym miejscu nie było, zaś wzmożony ogień obrony przyhamował ruch nieprzyjaciela. Korzystając z tego dowódca 1 kompanii rozkazał plutonowi zwinąć stanowiska i wycofać się w kierunku północnym.

taj przed świtem przybyła też 1 kompania. Por. „Im” zapobiegliwie wysłał 5-osobowy patrol pod dowództwem „Wichra” (Jan Maziarz) do Węglina z zadaniem zdobycia żywności, której spora była potrzeba dla kilkudziesięciosobowej grupy. Pomysłną okolicznością było niezłe zaopatrzenie por. „Lutka”, który też na biwaku zajął się przygotowaniem gorącego posiłku dla grupy sztabowej.

Patrol „Wichra” miał szczęście, gdyż Niemcy nie zdążyli jeszcze obsadzić pozycji obrony przedmościa wyznaczonej także pod Węglinem. Dopiero kiedy w wozem pełnym wiktów patrol powracał do lasów, tuż za Węglinem usłyszał nadjeżdżający samochód ciężarowy. Z dogodnych stanowisk na zakręcie drogi partyzanci zasypali ciężarówkę ogniem, kładąc trzech żołnierzy z obsady samochodu. Ocalał tylko jeden Niemiec, który zdołał uciec w pola. Następnie już bez przeszkód patrol powrócił ze zdobyczą i zaopatrzeniem do lasu Węglińskie Doły.

W tym czasie lasy gościeradowskie rozbrzmiewały walką. Na porannej odprawie dowódcy zgrupowania otrzęśli meldunki o nieprzerwanym ruchu odwrotowym niemieckich oddziałów, zaś komunikaty radia Moskwa mówiły o postępach radzieckiej ofensywy na ziemiach Lubelszczyzny. Wiadomości te podnosiły w oddziałach nastroje walki, podzielane szczególnie przez kpt. „Wicka”. Mimo obiekty „Alego” wynikających z faktu zgrupowania w lasach czołowego aktywu partyjnego i dowódców AL, zapadła decyzja podjęcia działań zaczepnych. Zaraz też dowódca I brygady zebrał 1 kompanię oraz grupę „Jedrusia” (Jan Dorosz) z oddziału sztabowego i poszedł z nimi w kierunku Salomina.

O starcie z nieprzyjacielem było tego dnia nader łatwo, gdyż niemieckie kolumny ciągnęły ze wschodu wszystkimi drogami i wchodziły w lasy, dążąc do Annapola. Jedną z nich wkroczyła do Agatówki i skierowała się leśną drogą na Gościeradów. Kolumnę tworzyło kilkaset wozów laboratoryjnych, poprzedzanych przez kilka czołgów. Wozy pancerne jechały wolno i na wszelki wypadek co chwilę ostrzeliwały las, widocznie licząc się z możliwością partyzanckiej zasadzki. Ich dywersyjne działania nie zapobiegły jednak wydarzeniom, które nastąpiły po przyjeździe wozów pancernych.

Przy tejże drodze, kilkadziesiąt metrów w głąb lasu, rozłożyła się 10 kompania AK por. „Andrzeja”. Na jej wschodnim skrzydle usadowił się „Lis” (Edward Borzechowski), z dwoma towarzyszami, pilnie obserwując sytuację na drodze. Kompania miała srogo przykazane nie otwierać ognia bez rozkazu, ale na widok przesuwających się taborów partyzantów swędziały dłonie. Ktoś nawet usiłował ich uspokoić, podając półsentem: „Nie strzelać, zaczekać aż tabor przejdzie”. Zalecenie to okazało się bezskuteczne, gdyż po ma-

lej chwili dwaj partyzanci — Edward Banaszek i Władysław Kasperk jednocześnie wygarnęli ze swych karabinów. Był zresztą na to najwyższy czas, gdyż idący bokiem niemiecki oficer dostrzegł czujnym okiem któregoś z ukrytego partyzanta i porwał za pistolet.

W jednym momencie po pierwszych strzałach otworzył ogień drużyna „Wichra”, a w następnym ułamku sekundy — cała kompania. Niemcy skryli się za wozami, usiłując zorganizować obronę, por. „Andrzej” już podniósł swą kompanię do ataku, zaś oficer niemiecki schował pistolet i wymachując rękami, krzycał na swych żołnierzy, żeby nie strzelali. Jakis inny Niemiec wrzeszczał wprawdzie ostrzegawczo: „polnische Banditen”, ale dostał od oficera po głbie, zamilkł i odrzucił karabin. Na prawo i lewo od tej dwójki tak samo rzucali broń inni żołnierze. Nie stawiając oporu, kilkudziesięciu Niemców poddało się, zaś partyzanci zagarnęli prowadzone przez nich blisko 30 wozów i porzuconą broń.

Oficer niemiecki natomiast salutował polskiego dowódcę i z dziwną euforią zawołał: „Niech żyje polski żołdat”.

Z jeńcami i wozami załadowanymi amunicją i żywnością oddział por. „Andrzeja” odszedł pod gajówkę zwaną Belweder, gdzie zatrzymał się na ubezpieczonym biwaku.

Akcja na niemieckie tabory została przeprowadzona w pobliżu miejsc postoju grupy sztabowej AL. Niepokojąc się o jej następstwa, sztab postanowił przenieść się do północno-zachodniej części lasów, w pobliżu wsi Budki. Specjalny patrol poszedł z tą wiadomością do kpt. „Wicka”, zaś grupa sztabowa zebrała się i wraz z częścią taboru ruszyła na północ. Las wkrótce się skończył, gdyż jego wschodnią krawędź pod Marynopol odchodziła się znacznie ku zachodowi. Postanowiono maszerować na przelaj polami, korzystając, że od wschodu chwilowo ustał ruch nieprzyjaciela. W ogromnym pośpiechu, trudnym wskutek skwaru, partyzanci pokonali ponad 2 km przestrzeni i ponownie skryli się pod osłonę lasów. Tutaj jednak okazało się, że nie wiadomo gdzie zapadł się „Ali”, którego wszyscy stracili z oczu. Mieli nadzieję, że wycofał się w przeciwnym kierunku i dołączył do oddziału kpt. „Wicka”.

Tymczasem ten ostatni toczył walki leśne pod Salominem. Oddział natknął się w marszu na niemiecką kolumnę samochodową, przedzierającą się leśną drogą do Gościeradowa. Mimo szybkiego rozwinięcia się do walki, partyzanci nie zdążyli należycie zorganizować ataku i nieprzyjaciel zdołał się przedrzeć bez strat. Starcie było jednak wskazówką, że Niemców można oczekiwać wszędzie i kpt. „Wicek” wybrał na tej samej drodze miejsce dogodnie do zasadki. Leśna droga przebiegała tu łukiem, skrajem polany i partyzanci zablokowali ją na obu krańcach łuku, pozostawiając sobie możliwość dogodnego ostrzału polany, na której ciągnęło się pole ziemniaczane.

Zaledwie ukończono te przygotowania, na drodze pojawiła się nowa kolumna niemiecka. Jej czoło stanowił motocyklista, z którymi jechały ciężarówka załadowana beczkami i siedzącymi na beczkach żołnierzami. Wschodnia grupa partyzantów przepuściła czoło kolumny i nie otwierała ognia, dopóki nie zrobiła tego grupa zachodnia dowodzona osobście przez kpt. „Wicka”. On też pierwszy wygarnął serię z pepeszy za którą na Niemców spadła lawina ognia broni maszynowej. Drużynowy „Leszek” z satysfakcją obserwował, jak w tego pobliżu obaj niemieccy jeńcy gorliwie ostrzeliwują samochody z udostępnionej im rusznicy przeciwpancernej.

Ogień partyzancki zmiotł z pojazdów wielu Niemców. Ich gęsto jadąca kolumna zatrzymała się, a ocaleli niemieccy żołnierze szukali schronienia w kartoflach. Zaraz też partyzanci poderwali się do walki, osłonili polazdy i zaczęli Niemców wciągać z kartofli. Zwycięzcy gromadnie penetrowali samochody, a niektórzy usiłowali uruchomić zdobyte motocykle. Ktoś triumfalnie prezentował wyciągnięty z samochodu sztandar hitlerowskiego pułku.

Jeszcze nie skończyło się zamieszanie, kiedy Niemcy pojawili się z nieoczekiwanego kierunku Gościeradowa. Jak się okazało, silny oddział

niemiecki podjął stamtąd działanie zmierzające do oczyszczenia lasów z partyzantów, których obecność zagrożala całej obronie ich przedmościa annopolskiego.

Atak niemiecki zmusił partyzantów do szybkiego odwrotu i częściowego rozerwania oddziału. Największą grupę zebrał por. „Lutek”, który postanowił powrócić do grupy sztabowej. Podobne zamiary miały też inne części oddziału, toteż wszystkie ruszyły w kierunku północnym.

Manewr ten okazał się nader trudny. Nieprzyjaciel posuwał się wszystkimi przesiekami, partyzanci byli zmuszeni co kilkadziesiąt kroków przysiadając się w lesie, a niekiedy toczyć utarczek. Grupa por. „Lutka” napotkała dużą grupę niemieckich taborów, zatrzymaną na polanie i zatakowała ją, ale została zmuszona do ustąpienia. Szarpające nerwy starcia rozpałały się co chwilę i dopiero grubo po południu por. „Lutek” dotarł pod Marynopol. Na miejscu starego biwaku partyzanci napotkali jedynie część opuszczonych taborów i porzucone konie wyprężnięte z wozów. Po chwili grupa była znów zmuszona odpiierać nieprzyjaciela, po czym ukryła się, czekając zmięzchu. Podobnie postąpiły inne części oddziału.

Jeszcze do dnia grupa por. „Lutka” odnalazła ślady partyzanckiego taboru prowadzące z lasu w pole. Trzymając się tych śladów, po zapadnięciu nocy partyzanci ostrożnie pomaszzerowali w kierunku północnym. Gdy dotarli do lasu pod Budkami zostali ostrzelani przez ubezpieczenie z oddziału „Korsarza”. Nieporozumienie wyjaśniło się i około godziny 22-ej grupy partyzanckie na powrót się połączyły. Wezwniej od por. „Lutka” dotarły tu już inne grupy prowadzone przez kpt. „Wicka”, „Szumnego” (Stanisław Rząd) i „Wichra”. Grupy przyniosły ze sobą wiele różnej zdobyczy, m. in. hitlerowski sztandar pułkowy. Zmordowani do cna partyzanci ułożyli się do snu o, nraniani czujkami wystawionymi przez grupę sztabową.

Po północy krótki strzelanina wybuchła na skraju lasu, gdzie pojawili się Niemcy. Zewsząd było też słychać niepokojący warkot motorów. Jak się okazało, nieprzyjaciel umacnił obronę przedmościa. Kilka samobieżnych dział pancernych zajęło stanowiska na skraju lasu pod Budkami, zaś inna bateria rozwinięła się pod Agatówką.

Niemieckie dowództwo nie zapomniało także o zagrożeniu, jakie o-

gnień. W trakcie walki grupa AL zaczęła wycofywać się w kierunku partyzanckiego biwaku. Ruch ten przebiegał na ogół pomyślnie i tylko jedną „Polę” spotkał tu srogi los. Siłaczyszy okulary stracone przez jakąś gałąź, stała się zupełnie nieporadna. Szukając utraconych szkieł otrzymała śmiertelną kulę w głowę.

Nieoczekiwane starcie postawiło na nogi wszystkich partyzantów. Kilkunastu z nich bez rozkazu pobiegło w kierunku ogniska walki i rozwinięło się wzdłuż leśnej dróżki. Przed sobą dostrzegli grupkę swoich strzelających do Niemców, więc bez namysłu zerwali się i poszli im na pomoc, siejąc z automatów. Uderzenie to spowodowało śpieszną rezerwadę przeciwnika i po chwili obie grupy AL połączyły się. Biegący wśród atakujących „Razwiedka” dotarł do leżącej na ziemi „Poli”, ale przekonał się tylko, że sekretarz V okręgu nie żyje. Zabrał więc tylko jej teczkę z podręcznym archiwum i kawałkiem suchego chleba, po czym dołączył do swoich.

W tym czasie dowództwo nad całością partyzanckich sił objął kpt. „Wicek”. Pod jego okiem oddziały rozwinięły się do obrony okrężnej, rozciągnięte w rzadki wieniec. Na razie walka ucichła, a nieprzyjaciel zniknął z przedpola.

Odpoczywająca w głębi lasów 10 kompania AK por. „Andrzeja” również rano wznowiła swoje działania. Patrol wysłany na skraj lasu pod Agatówką powrócił z meldunkiem o obecności niemieckiej baterii rozwiniętej tuż pod lasem, kilkaset metrów na północ od tej wsi. Dowódca oddziału przyjął meldunek jako zapowiedź doskonałej okazji i natychmiast zarządził zbiórki. Przeprowadził ją sprawnie szef oddziału sierż. „Ostoja”. Na drużynowego „Wichurę” szef wpadł z okrzykiem: „Kolego artylerzysto, idziemy na armaty — zbieraj drużynę”. O godzinie 9-ej kompania z I plutonem ppor. „Komara” na czele pomaszzerowała w kierunku Agatówki.

Z nastaniem dnia niemiecka bateria wysunęła swe ubezpieczenia na kilkadziesiąt metrów w głąb lasu. Widząc nadchodzących partyzantów ubezpieczenia te otworzyły ogień, więc kompania natychmiast ruszyła do ataku, rozwijając się z kolumny marszowej. Ktoś tam padł zabity, ktoś ranny, ale niemieckie czujki zostały zmiecione atakiem i wkrótce na brzegu lasu zabrzmiało triumfalne: „Hände hoch!”. Na ten zew wielu

czyła jeszcze tylko kilka drobnych utarczek z patrolami niemieckich oddziałów operujących wzdłuż leśnych dróg i przesiek.

Jeszcze przed południem Niemcy wyszli ponownie na stanowiska oddziałów AL kpt. „Wicka”. Przyjęci gwałtownym ogniem całej partyzanckiej broni, cofnęli się, co kpt. „Wicek” wykorzystał do zmiany stanowisk. Przy tym jednak znanawrze oddziały porazywały się na mniejsze grupy, które częściowo pogubiły się w wąwozach. Przed podjęciem decyzji dowódca I Brygady AL wysłał „Razwiedkę” na rozpoznanie wschodniego skraju lasu, gdzie jednak patrol znalazł tylko niemiecką baterię dział samobieżnych strzelających w kierunku wschodnim i duży oddział niemieckiej piechoty. Trzeba było szukać innego kierunku wyjścia z opresji, o co zresztą różne grupy musiały się starać na własną rękę. Instynktownie wszyscy dążyli na wschód, bliżej frontu i Armii Czerwonej.

6-7-osobowa grupa, w której znalazł się szef sztabu obwodu mjr „Grab”, oficer oświatowy kpt. „Kot” i kilku innych partyzantów, ułożyła się maleńkim wąwozkiem, z którego stała ogniem na nieprzyjaciela podchodzącego co chwilę z różnych stron. W pewnej chwili ranny został kpt. „Kot”, ale nie przerwało to natężenia obrony. Natomiast natężenie natarcia wkrótce spado gwałtownie wskutek nawaly ogniowej, którą położyła na las artyleria, ale tym razem radziecka.

Na tę ostatnią noc okupacyjną z 27 na 28 lipca grupy partyzanckie w większości zapadły w lasach, niektóre zaś zaczęły poszukiwać dróg wyjścia w kierunku wschodnim. Równocześnie Niemcy zwiłali obronę przedmościa annopolskiego uchodząc za Wisłę. W ciemnościach nocnych zdarzało się, że grupy Niemców i partyzantów stykały się i rozchodziły nie strzelając do siebie nawzajem. Obie przeciwnie strony były zbyt wyczerpane, aby podejmować walkę. Z tego też względu nie doszło do przypadkowych starć z podchodzącymi przed świtem oddziałami radzieckimi. Większość grup przed świtem osiągnęła partyzancką bazę — Trzydnik Mały. Przechodzący partyzanci byli gdzie walili się spać, śmiertelnie zmęczeni. Trudno było w tych warunkach troszczyć się o jakikolwiek ubezpieczenie. Ale straż nad partyzantami objęła już



Fot. A. Trachman

bronie przedmościa annopolskiego stwarzała obecność oddziałów partyzanckich w lasach gościeradowskich. O świcie silne oddziały piechoty ponownie ruszyły z Gościeradowa do lasów z zadaniem usunięcia tego dotkliwego ciernia z organizmu obrony przedmościa. Czołowy oddział posuwał się najszybciej, kierując się lasami na Budki, czyli w stronę biwaku oddziałów AL. Około godziny ósmej niemieckie ubezpieczenie podeszło w pobliże polanki, na której skraju rozciągała się grupa działaczy konspiracyjnych, m. in. „Pola”, „Marta” i „Krzemień”.

Zaskoczenie, jakie nastąpiło na skraju polanki, było obustronne. Ktoś z partyzantów pierwszy spostrzegł Niemców i bez namysłu zaczął do nich strzelać, a po malej chwili z obu stron zerwał się gęsty

niemieckich żołnierzy przy działach uniosło rece i tylko część z nich na partyzanckie wezwanie odpowiedziała ogniem. Za przykładem swych kolegów porwali za broń poddający się, a zgęszczone ognie skosił na liż-jerze lasu ppor. „Skale” (Konstanty Wiśniewski) i sierż. „Bociana”. Wzmoczony opór Niemców i poniesione straty spowodowały cofnięcie się partyzantów, za którymi Niemcy weszli w las. Ponieważ pierwsze starcie nie dało wyników, por. „Andrzej” dał rozkaz odwrotu osłaniając ten manewr drużynami i plutonem. Odkryło się to w całkowitym porządku, chociaż ze straży tylnej radł jeszcze ranny drużynowy „Wicher”, którego po rzuceniu granatu trafila niemiecka kula.

10 kompania odeszła w głębsze partie lasu, gdzie w ciągu dnia sto-

wówczas sojusznicza Armia Czerwona.

Kiedy nastął dzień 28 lipca, zatrąszono się o odszukanie własnych poległych. Do lasów wyruszyły patrole, które zebrały ich kilkunastu. Długo i uporczywie trzeba było szukać „Alego”, po którym zaginął ślad. Dopiero po kilku dniach w małym lasku Klementowizna znaleziono jego zwłoki, leżące w pobliżu zwłok „Jędrusia”. Niestety nikt po dotychczasowym dniu nie wie, w jakich okolicznościach zginął ostatni konspiracyjny sekretarz PPR Obwodu Lubelskiego.

Leszek Siemion

Pancerni ulani w walkach na zachodzie Europy

Ryszard Nowosad

JEDNA z nielicznych nowoczesnych jednostek armii polskiej w 1939 r. był zmotoryzowany 24 pułk ulanów im. Hetmana Żółkiewskiego. W okresie przedwrześniowego pogotowia, pod dowództwem płka dypl. Kazimierza Dworaka, wyruszył pułk ze swojego garnizonowego miasta, Kraśnika, ku południowym rubieżom Polski, by stawić czoła nawałce wojsk hitlerowskich.

W składzie 10 Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej już 1 września 1939 r. wszedł do walki pod Jordanowem, uniemożliwiając 2 Dywizji Pancernej gen. Veieła wyjście na tyły Armii „Kraków”. W okresie dalszych 17 dni walk na trasie od Jordanowa do Zboisk pod Lwowem pułk był ciągle w akcji, stoczył cztery boje i sześć potyczek opóźniających, wypełniając wszystkie powierzone sobie zadania.

19 września jako zwarta jednostka przekroczył na rozkaz granicę węgierską, by po kilkumiesięcznym internowaniu znaleźć się ponownie, niemal w komplecie, w szeregach armii polskiej tworzonej we Francji. W czasie wojny 1940 r. osłaniał wycofujące się z Szampanii wojska francuskie.

Po raz trzeci odtworzono pułk na Wyspach Brytyjskich, tym razem jako jednostkę pancerną, choć o tradycyjnej nazwie. Dysponując 11 czołgami lekkimi „Stuart” 52 czołgami typu „Sherman” i sześcioma czołgami OPL, dowodzony przez mjr. Jana Kańskiego, załadowany został na statki w portach Londynu i 30 lipca 1944 r. opuścił ujście Tamizy, kierując się ku brzegom Francji na pole bitwy w Normandii.

1 sierpnia 1944 r. konwój statków, a wśród nich „Hannibal Hamilton” mający na pokładzie 24 pułk ulanów oraz czołgi i wozy ciężarowe, przyplłynął do brzegów Normandii w miejscowości Arrormanches.

U wybrzeży marynarze ustawili wraki statków i okrętów, robiąc z nich łamacz fal. Barki desantowe, pontony i konstrukcje mostowe spojenie ze sobą tworzyły system zbudowanego naprędce portu, który połączono z brzegiem pomostami. Do burty statku podplłynęły barki wyladownicze. Rozładowanie ludzi, sprzętu, amunicji i zaopatrzenia następowało bardzo szybko. Barki podwiozły ulanów bliżej brzegu, skąd po pomoście lub po wyszczelnionym siatką drucianą chodniku wjeżdżali wprost na plażę.

Tak więc po czterech latach żołnierze pułku znowu wrócili do Francji, by wziąć udział w jeszcze jednej, tym razem zwycięskiej kampanii, która w ich marzeniach umożliwić miała powrót do Polski. Po wylądowaniu w Arrormanches pułk przeszedł na biwak do miejscowości Bayeux, gdzie stał do 7 sierpnia.

6 czerwca 1944 r. rozpoczęła się gigantyczna operacja zaszyfrowana kryptonimem „Overlord”. Na

plażach północnej Francji wylądowały wojska anglo-amerykańskie, zapoczątkowując działania na kontynencie.

W Normandii bronili się około 30 dywizji niemieckich stanowiących Grupę Armii „B”, dowodzoną przez marszałka von Kluge. Chcąc zepchnąć Amerykanów do morza, zorganizowali Niemcy „Pancerną Grupę Eberbacha”, rzuconą w przeciwnatarciu w kierunku na Mortain. Zostało ono powstrzymane i 3 Armia Amerykańska, uderzając od północnego zachodu, znalazła się na tyłach niemieckich i zepchnęła 7 Armię gen. Haussera i grupę Eberbacha na wschód, w kierunku na Falaise i Argentan.

Aby postawić zapórę wycofującym się wojskom niemieckim i zamknąć je w kotle, dowództwo alianckie nakazało 1 Armii Kanadyjskiej, w której skład wchodziła 1 Dywizja Pancerna gen. Maczka, uderzyć z rejonu Caen, przełamać obronę 5 Armii Pancernej obergruppenführera SS Seppa Dietricha i zdobyć Falaise. Operacja ta, nosząca kryptonim „Totalize”, miała być zrealizowana w dniach 7 i 8 sierpnia.

Czołową jednostką 1 Dywizji Pancernej była 10 Brygada Kawalerii Pancernej, a w jej składzie 24 pułk ulanów. Miał on w dniu 8 sierpnia szybkim natarciem, a nawet szarżą, opanować miejscowość Cauvicourt i kompleks lasów Quesnay. Niestety, lotnictwo alianckie nie zmieściło niemieckiej obrony, a przeciwnie, „przez pomyłkę” zbombardowało tylowe oddziały polskie i kanadyjskie. Natarcie szwadronów rtm. Piwońskiego i rtm. Zbrockiego z 24 pułku bez lotniczego i artyleryjskiego wsparcia, wykonane na zamaskowane i ugrupowane daleko w głąb pozycje niemieckie, zakończyło się niepowodzeniem i dużymi stratami. Wprawdzie 9 sierpnia pułk zdobył miejscowość La Croix, a 14 sierpnia — Aissy i Fontaine le Pin, ale było to dreptanie w miejscu i zasadniczej pozycji obrony — linii lasu Quesnay — przełamać się nie udało.

Nietrafne i niecałkowite rozpoznanie wyższego dowództwa oraz błędna ocena możliwości sił własnych i nieprzyjaciela spowodowała niewspółmierne do zdobytego terenu straty: 26 zabitych, wśród nich dowódca 1 szwadronu, rtm. Marian Piwoński, oraz 29 rannych.

Drogo więc kosztował ulanów chrzest bojowy w pancernych maszynach, ale zdobyte doświadczenie wykorzystano w następnych walkach. Zastosowano taktykę terroru ogniowego polegającą na silnym ostrzeleniu nierozpoznanych celów, co zmuszało niemieckie stanowiska ogniowe do wczesnego ujawnienia się.

Nie mogąc przełamać czołowym atakiem pozycji niemieckich, wykonano 15 sierpnia manewr oskrzy-

żający od wschodu i sforsowano pod Jort rzekę Dives, gdzie ranny został dowódca pułku, mjr Jan Kański²⁾.

Rozpoczęła się druga faza bitwy pod Falaise, której celem było zdobycie miasteczka Chambois. Došlo do trudnych walk (żywołoty, laski i aady sprzyjały broniącym się Niemcom) i bezpośrednich pojedynków czołgowych. 15 sierpnia o zmroku szwadrony rtm. Szumańskiego i por. Fredricha, po zniszczeniu na swojej drodze dział przeciwpancernych nieprzyjaciela, uchwyciły szosę na odcinku Morteaux Couliboeuf — Vaudeloges, zamykając odwrót Niemcom na wschód i wylapując zdeorganizowane, przemieszane luźne grupy 7 Armii niemieckiej.

19 sierpnia, pokonując opór oddziałów z 85 i 272 Dywizji Piechoty, przystąpiono do zdobywania Chambois. Obrona niemiecka nie wytrzymała terroru ognia polskiego. Czołgi plutonu rozpoznawczego por. Soltysia wdarły się od wschodu do miasta i nawiązały bezpośrednią styczność z 395 pułkiem piechoty amerykańskiej mjr. Dulla, który zdobył Chambois od południa. W ten sposób zamknięty został „kocioł Falaise”, a właściwie „kocioł Chambois”.

W trzeciej fazie bitwy, trwającej do 22 sierpnia, 24 pułk ulanów zaopatrywany z powietrza bronił się w Chambois w warunkach całkowitego okrążenia, atakowany przez wycofujące się z kotta oddziały niemieckie.

Walki w rejonie Chambois zmieniły zasadniczo proporcje strat własnych pułku i nieprzyjaciela. Ułani zniszczyli siedem czołgów niemieckich, pięć wozów pancernych, 12 dział ppanc. i wzięli do niewoli około 1500 jeńców.

Rejon walk zamienił się w straszliwe pobojowisko, o którym dziennikarz angielski w wojskowym piśmie brytyjskim „Tank” napisał: *Spośród pol bi-*



Szwadron honorowy 24 pułku ulanów reprezentował 1 D Panc. na defiladzie zwycięstwa w Paryżu

teu w Normandii, żadne inne nie przedstawia takiego obrazu piekła, zniszczenia i śmierci jak to, które rozciąga się na północny-wschód od Chambois.

Charakterystykę udziału Polaków w bitwie normandzkiej gen. Franciszek Skibinski wyraził słowami: „Polacy wykazując wiele męstwa i ambicji, skrupulatnie i z honorem wypełnili swoje zadania bojowe. [...] Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że utrzymanie w ręku Polaków trzech klinowych punktów terenu było sprawą niezwykle trudną, wymagającą nie tylko opanowania ziemstwa żołnierskiego i sztuki dowodzenia, lecz nade wszystko męstwa, uporów i nieprzeciętnie wysokiego morale obrońców. [...] Historię tego boju powinni znać wszyscy Polacy, wszystkie ich pokolenia.

Po krótkim odpoczynku w rejonie Norrev-en-Auge pułk dowodzony przez płka Romualda Dowbora ruszył w pościg za wycofującymi się Niemcami. 1 września przekroczył Sekwanę w miejscowości Criquebeuf, a 4 września — rzekę Somnę i angażując w walce wszystkie trzy szwadrony, złamał słaby opór broniących się w Ruisseauville oddziałów niemieckich z 245 i 164 Dywizji Piechoty.

Entuzjastycznie przyjmowała Polaków ludność wyzwolanych miast francuskich, nie kryjąc radości, że to Polacy, a nie Anglicy ich wyzwolają. Kwiaty i biało-czerwone flagi witały Polaków w każdej miejscowości.

6 września 1944 r. ulani przekroczyli granicę francusko-belgijską i omijając rejon walk w Roulers przystąpili do opanowywania z marszu belgijskiego miasta Thiel, bronionego przez oddział wydzielony mjr. Frantzkowskiego z 712 Dywizji Piechoty. Chodziło o to, by nie dać Niemcom czasu na solidne obsadzenie obronne Kanału Gandawskiego.



Czołgi 24 pułku ulanów na ulicach Gandawy

Niemcy, zaskoczeni w Thielt we wczesnych godzinach rannych 8 września, szybko ochłoneli i potrafilili skutecznie bronią przeciwpancerną „zakorkować” w wąskich uliczkach miasta czołgi plutonu rozpoznawczego por. Dzierżka i czołgi 1 szwadronu rozpoznawczego. Po starciu kilku maszyn walców Starzyńskiego. Po starciu kilku maszyn walców przybrała nietypowy dla tężności pancernej charakter walki ulicznej, w której wzięli również udział Belgowie z ruchu oporu. Poprowadzili oni ulanów ogrodami, piwnicami i dachami domów na tyły niemieckiej obrony umożliwiając jej likwidację. W walce tej wziął pułk do niewoli sześćset oficerów i ponad 1200 szeregowych.

Zwycięski bój spotkaniowy o Thielt i uchwycenie miasta otwierało dalszą drogę na wschód — do Gandawy, do której 24 pułk ulanów wkroczył 11 września. Za walki o wyzwolenie Gandawy miasto udekorowało sztandar pułku złotym medalem.

Pierwszym wyzwolonym przez ulanów miastem holenderskim było Alphen. Jego opanowanie stanowiło wstępny etap operacji zdobywania Pancernej. Ułani 24 pułku w tej operacji wspierali swoimi czołgami natarcie 8 batalionu strzelców i 10 pułku dragonów, zdobyli przejście na kanale Wilhelminy w rejonie Oosterhout i w ciężkich walkach zajęli Rijen. Z tej miejscowości jako postawy wyjściowej dokonali od wschodu uderzenia na Bredę, opanowali miejscowość Dorst i nocnym atakiem, zdobyli rozwidlenie szos pomiędzy Bavel a Ginneken. 29 października o świcie Breda była wolna. Wdzięczni mieszkańcy tego historycznego miasta wszystkich żołnierzy Polskiej Dywizji Pancernej obdarowali honorowym obywatelstwem.

Po wyzwoleniu Bredy pilnym zadaniem aliantów stało się zdobycie miasta Moerdijk położonego u ujścia Mozy nad zatoką Hollandsch Diep, przez którą przebiegały dwa najdłuższe w Europie mosty: drogowy i kolejowy. Pozostawienie tego ofensywnego przyczółka broniącego przez pułk niemieckich marynarzy i dywizjon własowców dawało Niemcom możliwości ewentualnego uderzenia na północne skrzydło sprzymierzonych i zagrażałoby bezpośrednio Antwerpii.

Moerdijk było silnie ufortyfikowane betonowymi bunkrami, otoczone polami minowymi i zalewami, tak że natarcie mogło się odbywać wyłącznie po trzech groblach zablokowanych żelbetonowymi zaparami przeciwczołgowymi. Wstępne uderzenie: a) przyczółek (wyrabianie ogniem dział czołgowych przejść w zaporach betonowych) wykonał 10 pułk strzelców konnych.

Rozkaz zdobycia Moerdijk otrzymał 24 pułk ulanów 8 listopada i to „za wszelką cenę, bez względu na straty”. Wyrabiane przejścia okazały się za wąskie dla czołgów, trzeba je było poszerzyć.

Nareszcie wylom poszerzony — wspomina dowódca 3 szwadronu rtm. Jan Przanowski — i „Sherman” kaprala Lubiasza *wjeżdża bardzo wolno i ostrożnie. Obserwuję z wielkim niepokojem, co go spotka po drugiej stronie zapory. Nagle wybucha szary dym zasłania na chwilę czołg. Minal! [...] Przejście zatarasowane i następne czołgi nie mogą posuwać się naprzód. Zalany teren uniemożliwia wykonanie manewru obejścia. Wydaje rozkaz, aby podjechały bliżej dwa następne czołgi i plutonu. Zalogi śpieszą się; pod osłoną dymów położonych przed 2 pluton zakładają stalowe liny na uszkodzony czołg i usuwają „zawalidropę”. [...] Do przodu jedzie następny czołg kaprala Srokowskiego, ledwo przeszedł przez wyrwę, natknął się na minę i wyleciał. [...] Na odcinku tym Niemcy ułożyli miny przeciwczołgowe jedna na drugiej — w kilku warstwach, co nie rokuje szybkiego oczyszczenia drogi.*

Szybciej uporał się z zaporą na bocznej grobli szwadron rtm. Starzyńskiego i ruszył w kierunku Moerdijk, a za nim pozostałe czołgi pułku. Walcząc o każdy dom i zaułek ulani uporczywie zbliżali się do portu, który zdobyto o świcie.

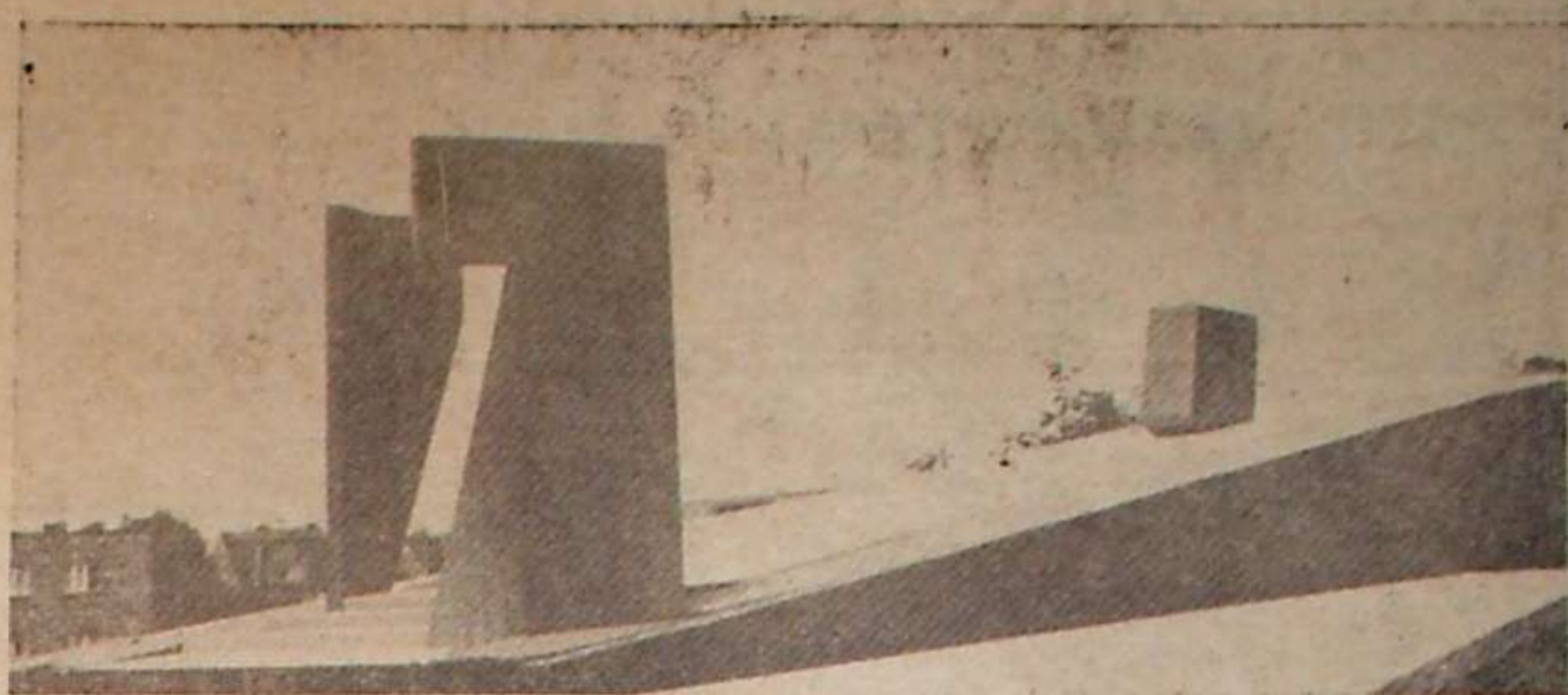
Tym sukcesem zakończył się dla Polaków okres operacji ruchowych i do 7 kwietnia 1945 r. pułk pełnił służbę ubezpieczającą nad Mozą, odbierając wiele dowodów wdzięczności i uznania Holendrów: m. in. w imieniu królowej Holandii, Wilhelminy, księżną Bernard w liście do gen. Maczka napisał: *Niech mi wolno skorzystać z tej okazji, aby wyrazić podległym Panu żołnierzom podziękowanie narodu holenderskiego oraz moje własne za bardzo poważną i czynną rolę, jaką odegrali oni w upolnieniu naszego kraju. Stworzyło to mocny związek między nami, którego nigdy nie zapomnimy. Zyskaliście sobie wielu przyjaciół w naszym kraju i będziecie tu zawsze mile widziani.*

W kwietniu 1945 r. nastąpił przemarsz przez terytorium Niemiec, forsowanie kanału Kusten, uwolnienie jeńców z obozów. Koniec wojny zastał ulanów 24 pułku w Bokerl w trakcie przygotowań do uderzenia na niemiecki port Wilhelmshaven.

Gdy 7 maja 1945 r. pułk stanął na swojej ostatniej w dziejach zbiorce, na 458 żołnierzy — 102 było takich, którzy w 1939 r. wyruszyli z Krafnika, by wziąć udział w trzech kampaniach drugiej wojny światowej.

O postawie pułku w obliczu wroga świadczy poczet 40 oficerów i szeregowych — kawalerów i Virtuti Militari oraz 323 żołnierzy odznaczonych Krzyżem Walecznych.

Za obronę ojczyzny, za wyzwolenie Francji, Belgii i Holandii zapisał pułk daniną ponad 120 poległych oficerów, podoficerów i szeregowych. Ich nazwiska widnieją dzisiaj na granitowym pomniku, wzniesionym w dawnym garnizonowym mieście, skąd na wezwanie ruszyli, by spełnić swój żołnierski i patriotyczny obowiązek.



Jan Berdyszak „Przywrócony horyzont”, Chelme 1976 r.

„Przestrzeń miasta” Chelma

W CHELMIE działają konsekwentnie. Sześć lat temu uruchomiono tam „Galerię 72”, czemu towarzyszył mały skandal obyczajowy. Obecnie w siedzibie tejże instytucji, będącej integralną częścią Muzeum Okręgowego, otwarto wystawę modeli oraz projektów pleneru plastycznego, której Bożena Kowalska, komisarz imprezy, ochrzciła mianem „Przestrzeń miasta”. Nie jest przy tym dziełem przypadku, że poszczególnie propozycje autoryzują artyści, którzy wystawiali już w „Galerii 72”. Jak wiadomo, od początku placówką kieruje dr Kowalska, której sympatie artystyczne zdają się być po stronie neokonstruktivismu, czy szerzej rzecz biorąc — nurtów racjonalistycznych, czerpiących inspiracje ze świata fizyki, matematyki. Wystarczy zresztą spojrzeć na wystawę inicjującą plener, aby znaleźć potwierdzenie tejże opinii. Szesnastu artystów z Warszawy, Wrocławia, Poznania, Łodzi, Krakowa i Lublina pokazało projekty, które w większości można przypisać do gatunku tzw. form przestrzennych. Znamienne jednak, że ich sensy nie mają wiele wspólnego z tymi, które ewokowały prace z elbląskiego biennale w 1965 roku. O ile w tamtych momentach symboliczne i refleksyjne były właściwie nieobecne, o tyle w modelach eksponowanych w Chelmie wyraźnie dochodzi do głosu treść pozaformalna. Kierujące uwagę widza np. w stronę historii. Dobrym tego przykładem może być „Kolumna pamięci” Kajetana Sespowskiego, zbudowana z 11 elementów betonowych — symbolizujących 11 wieków istnienia Państwa Polskiego i osiagających w sumie 22 metry wysokości. A oto, jak komentuje swój projekt inny artysta, Maciej Szańkowski:

„Symboliczna brama ma ukazać związek historyczne przeszłości miasta z jego współczesnością. Zastosowanie betonu zbrojonego do jej budowy poza wszelkimi praktycznymi ma wydobyc poprzez zastosowaną formę plastyczną nośność konstrukcji betonowej, która stała się już symbolem naszej epoki”.

A nawiązać, że kiedy na sympozium „Wrocław 70” wystąpiłem w dyskusji z sugestiami pokrewnymi ideowo, przyjęło je z pełnym niezrozumieniem...”

Tymczasem essem 1st później w Chelmie i Ryszard Winiarski, tak

uręczony do niedawna matematyką, statystyką, grami losowymi z udziałem publiczności — występuje z projektem adresowanym przede wszystkim do wyobraźni. Warte realizacji wydają się te jego bryły elementarne — kula, walec, stożek, sześcian, czworościan — posadowione w zamyśle autora na powierzchni ziemi w jednej siódmej swej objętości. Cała reszta, de facto nie istniejąca, materializowałaby się jedynie w wyobraźni odbiorcy. W gruncie rzeczy, przynajmniej to, Winiarski kontynuuje przecież swoje dotychczasowe doświadczenia. „Najistotniejszy w tej propozycji... wydaje się fakt, że nie celowe kształtowanie wyglądu, lecz wybór metody postępowania, reguły gry, przynosi taki, a nie inny rezultat, używany później jako rzeźba o określonym wyglądzie”, stwierdza autor projektu.

Natomiast z celowym kształtowaniem wyglądu mamy do czynienia np. w propozycji Jana Ziemińskiego, nazwanej wręcz przez twórcę „formą przestrzenną” — złożoną z trzech podwójnych i elipsoidalnych płatów o wysokości 4 metrów, otaczających czarną kulę, również wykonaną z żywicy poliestrowej. Tego rodzaju technologia przyswoił sobie Ziemiński w trakcie pleneru w Uście, gdzie zrealizował jeden z najciekawszych obiektów owej imprezy. Model chelmski również przedstawia się intrygująco, podobnie jak propozycja Juliana H. Raczki: siedem pomarańczowych form kulistych, usytuowanych szeregowo w stoku i otwierających się w pejzaż coraz to większymi wydrębnieniami, pokrytymi błękitem. Systemowy charakter ma także propozycja Jana Berdyszaka, zbudowana z trzech odległych od siebie elementów przeźbiarsko-architektonicznych, niejasno wprowadzających krajobrazu wężorzą katedrałnego i korespondujących ideowo z formami M. Szańkowskiego. Wykonana z białego betonu i blachy nierdzewnej forma przestrzenna Jana Chwałczyka, pokryta fragmentarycznie różnymi tonacjami czerwieni i żółci, w wypadku realizacji oblicuje innego rodzaju doznania: związane ze zmianami natężenia kolorów w zależności od kąta padania promieni słonecznych. Artysta — na co zwracam uwagę — podobnie jak kilku innych uczestników pleneru wykorzystuje w swojej koncepcji tworzywo naturalne, w tym wypadku

światło słoneczne. Dzieła sztuki jako organizmy autonomiczne, konkurencyjne w stosunku do otoczenia, rzadko spostrzegamy na wystawie, a fakt ten można uznać za szczególną wartość całego przedsięwzięcia.

Plener chelmski wiąże się bezpośrednio z jubileuszem Polski Ludowej. „Jego celem jest uporządkowanie i zagospodarowanie plastyczne poszczególnych dzielnic miasta oraz wprowadzenie w urbanistyczny pejzaż Chelma trwałych akcentów plastycznych o wysokich wartościach twórczych. Wrośnięte w organizm miasta, tworzące z otoczeniem harmonijny układ wizualny — mają upamiętniać wielkie polityczne wydarzenia 1944 roku, a jednocześnie stanowić dalszy niejaki ciąg zbiorów muzeum, zapowiadając je i łącząc z innymi w jedno, stanowiąc ich przedłużenie i wzbogacenie w przestrzeni krajobrazu” — stwierdziła B. Kowalska.

Czy zamierzenia te doczekają się realizacji? Nie powiedziano, że wszystkie projekty doczekają się spełnienia, co i dobrze, jako że do niektórych propozycji sam miałbym zastrzeżenia. W Chelmie mówią przecież, że organizowanie pleneru bez widoków na przekształcenia słowa w ciąło — nie miałoby sensu. I przynajmniej się do realizacji etapowej, stopniowej, powiedzmy: dwóch — trzech projektów w roku. Oczywiście, przy udziale wybranych zakładów pracy, dysponujących odpowiednimi mocami przerobowymi i materiałami. Znajac co nieco organizatorów imprezy i ambicje władz chelmskich, skłonny jestem wierzyć tym obietnicom. Tym bardziej, że gdzieś półtora roku temu podczas pierwszego w ogóle zebrania „na temat”, które odbyło się w gabinecie wicewojewody Sobolewskiego, próbowałem szkicować własną koncepcję pleneru, co z niej zostało i w aktualnej.

Zauważyłem na początku, że w Chelmie działają konsekwentnie. W 1972 roku otwarto znaną dziś w Polsce galerię sztuki współczesnej. Dzięki temu, że działała bez zahamowań i znajdowała środki na zakupy prac od autorów — artystów nierzadko wybitnych — posiada obecnie znakomite zbiory plastyki aktualnej, mogące konkurować z renomowanymi muzeami kraju. Po przeprowadzonym właśnie remoncie instytucji znajdują one stałe miejsce w salach całego pierwszego piętra Muzeum Okręgowego. Teraz zainicjowano w Chelmie plener „Przestrzeń miasta”, który zakończyć się powinien pomyślnie. Jesienią bieżącego roku w „Galerii 72” odbędzie się ogólnopolskie sympozjum teoretyczne na temat „Sztuka — jutro”, w którym zapowiedzieli udział znani krytycy i historycy sztuki...

I tak, proszę państwa, w mieście bez żadnej tradycji artystycznej powstał ośrodek polskiej sztuki współczesnej o znaczeniu ogólnokrajowym.

Ireneusz J. Kamiński

100-LECIE URODZIN JANUSZA KORCZAKA

W BIEŻĄCYM roku obchodzimy setną rocznicę urodzin Janusza Korczaka. Obchodzi ją cały świat, ponieważ UNESCO uroczystość tę wprowadziła do kalendarza swoich imprez, ale Polacy mają do tego powód szczególnie. Janusz Korczak był Polakiem. Janusz Korczak zginął jako więzień obozu Treblinka II.

Mało jest śmierci dobrowolnych. Ta do nich należy. Ale o ile samobójstwo bywa na ogół bierną ucieczką od życia, ta była czynnym protestem przeciw przemocy hitlerowskiego faszyzmu, czynnym aktem podsumowania życiorysu zapisanego służbą dla ludzkości. Dla przyszłej ludzkości, bo dla dzieci. Janusz Korczak mógł uniknąć śmierci uchodząc z getta, w czym mu niejednokrotnie oferowano pomoc, mógł uni-

knąć nawet transportu do obozu zagłady, który wyszedł dnia 5 sierpnia 1942 roku z Dworca Gdańskiego w Warszawie. Mogł ze względów technicznych. Nie mógł z moralnych. W tym transporcie znajdowali się jego wychowankowie, których opuścić znaczyło zdradzić swoje ideały, swoja życiową prawdę realizowaną na przestrzeni wszystkich lat życia.

Był lekarzem. Ale stając się pedagogiem mówił, że nie zmienia zawodu. Dom sierot w Warszawie przy ulicy Krochmalnej 92 był przede wszystkim ośrodkiem zdrowia moralnego, szkołą wartości najbardziej ludzkich, którą w młodych wszczerpiał ten lekarz i pedagog.

Nie tylko. Janusz Korczak był autorem szeregu dzieł literackich, w tym teatralnych, ponieważ sam

był dramaturgiem — dramatem „Kłórnicy” zyskał czołowe wyróżnienie w konkursie „Kurier Warszawski” — i sztukę teatralną uważał za skuteczny środek trafiania do wyobraźni młodocianych widzów. Jeszcze dwa tygodnie przed zagładą swoich wychowanków wystawił w sierocinicy utwor Ratindranalka Tagore „Pocztą”, o realizacji którego w niewydrukowanej recenzji napisał Władysław Szlangel:

„Coś więcej niż tekst — bo nasiró;
Coś więcej niż emocja — bo przeżycie;
Coś więcej niż aktorzy — bo dzieci!”.

W roku 1956 przyszło do Polski zaproszenie na VIII Międzynarodowy Kongres Pediatrów. Na kopercie figurował adres: „Monsieur Janusz Korczak, Varsovie, Krochmalna 92”.

Nie dziwnego. Tak życie przeżywszy, żyje się wiecznie.

Miesiąc Polaków

JUZ po raz drugi Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wydała tom pamiętników zwykłych ludzi. „Miesiąc mojego życia 1973” jest zbiorem dzienników napisanych w pierwszych miesiącach 1973 r. i nadesłanych na konkurs ogłoszony przez Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz redakcję „Tygodnika Kulturalnego”. Był to już drugi taki konkurs. Pierwszy przeprowadzono w 1962 r. i jego rezultatem był tom dzienników zatytułowany „Miesiąc mojego życia”, obecny ma powtórzony tytuł z dodatkiem „1973”.

Bardzo celnym było zorganizowanie drugiego podobnego konkursu po 11 latach. Porównanie bowiem życia ludzkiego zawartego w tych dwu zbiorach, porównanie ich spraw, ich trosk, ich sukcesów pozwala stwierdzić, jak bardzo zmieniło się życie Polaków w ciągu tych niewielu lat.

Pod tym kątem też spoglądają na dzienniki autorzy wstępu i posłowia do „Miesiąca mojego życia 1973” znani socjologowie Zdzisław Grzełek (wstęp) i Józef Chalasiński (posłowie). Ten ostatni był zresztą autorem wstępu do pierwszego „Miesiąca mojego życia”.

pozytywne zmiany w dziedzinie dochodów ludności, rozszerzenia się asortymentu wyrobów przemysłowych dostępnych na rynku znajdują swe odbicie w wielu zapiskach ludzi różnych zawodów. Rozpowszechnienie telewizji wpływa na dostępność kultury, wielu piszących pamiętniki jest już, lub ma stać się posiadaczem samochodu. Wiele zmian w pracy rolnika przynosi mechanizacja pracy na wsi.

Ze znacznym oddźwiękiem u autorów pamiętników żyjących na wsi spotyka się wprowadzenie powszechnej opieki lekarskiej „la rolników”. Choć spotyka się wiele uwag świadczących o niedostatku kadr i bazy w tym zakresie.

Autorzy pamiętników widzą zgodną z interesem narodu politykę państwa, widzą też braki w jej realizacji. Jedną z autorek mówi: „Wielkość państwa zależy nie tylko od mądrego kierownictwa, lecz także szarych wykonawców i realizatorów zamierzeń”, by dalej stwierdzić: „Nie wiem, czy władze zdają sobie w pełni sprawę, jak wielki jest stopień demoralizacji niektórych środowisk”.

Wśród zjawisk, które przeszkadzają nam w codziennym życiu i rozwoju kraju, autorzy wspomnieć często wytykają biurokrację i styl pracy biur i urzędów. Oto co możemy wyczytać w jednym z dzienników: „...pijany lub nieobecny urzędnik, zakupy w godzinach pracy, ploteczki, spóźnienia, strach przed narażeniem się komukolwiek...” to zjawiska, z którymi nie możemy się zgodzić, one bowiem prowadzą do niepotrzebnego tracenia czasu przez współobywateli.

Inny pamiętnikarz stwierdza: „W państwie zmienia się dużo, w ludziach — zbyt mało... Dużo się zmienia, a jednak ludzie myślą jeszcze starymi kategoriami. Boją się decydować szybko i zdecydowanie...”

Biurokrację krytykują nie tylko ci, którzy stykają się z nią od zewnątrz, lecz także ci, którzy muszą realizować uciążliwe i często nie najmądrzejsze przepisy. Przewodnicząca GS pisze: „Często się zastanawiam, kto wymyśla konieczność sporządzania tylu planów, sprawozdań, niekończących się meldunków i informacji. Rozsądnie myślącego człowieka może szlag trafić przez tę piekielnie rozkręconą maszynę biurokratyczną, która stała się współczesnym środkiem udęczenia ludzi”.

A u innego kronikarza spotykamy konkretny fakt bezmyślnych i marnotrawiących przepisów: „Lkwiduj-

Medycyna i wychowanie

Janusz Korczak

MYLA się ci, którzy sądzą, że porzuciwszy szpital dla internatu, sprzeniewierzyłem się medycynie. Po ośmiu latach pracy szpitalnej zrozumiałem dość silnie, że wszystko, co nie jest tak przypadkowe, jak przejechanie przez automobil lub polknięcie gwoździa, może być poznane w dziecku tylko przy paroletniej jego obserwacji klinicznej, nie z rzadka w chorobach-katastrofie, ale codziennie, w jasnych okresach jego pomyślności.

Berliński szpital i niemiecka literatura lekarska nauczyły mnie myśleć o tym, co wiemy i powoli, systematycznie posuwać się naprzód. Paryż nauczył mnie myśleć o tym, czego nie wiemy, a wiedzieć pragniemy, musimy, będziemy. Berlin to dzieło roboczy pełen drobnych trosk i zabiegów. Paryż to święto jutra z jego olśniewającym przecięciem, potężną nadzieją i nieoczekiwanym triumfem. Siłę chęci, ból niewiedzy, rozkosz poszukiwań dał mi Paryż. Techniki uproszczeń, wynalazczość drobiazgów, ład szczegółów — wyniosłem z Berlina.

Wielka synteza dziecka — oto co mi się śniło, gdy w bibliotece paryskiej z rumieńcem wzruszenia czytałem dziwne dzieła francuskich klasyków-klinicyстів.

Medycynie zawdzięczam technikę badania i dyscyplinę naukowego myślenia.

Jako lekarz, stwierdzam objawy: widzę wysypkę na skórze, słyszę kaszel, czuję wznieślenie ciepłoty, powonieniem ustalę zapach acetonu z ust dziecka. Jedne dostrzegam od razu, ukrytych poszukuję.

Jako wychowawca, mam również objawy: uśmiech, śmiech, rumieniec, płacz, ziewnięcie, okrzyk, westchnienie. Jak bywa kaszel suchy, wilgotny i duszny, tak bywa płacz łzami, łkaniem i prawie bez łez.

Objawy ustalę bez gniewu. Dziecko gorączkuje, dziecko kaprysi. Obniżę gorączkę, usuwając w miarę możliwości jej powód, osłabiam natężenie kaprysu, ile się da bez szkody dla jego ducha.

Nie wiem, dlaczego mój zabieg lekarski nie osiąga pożądanego skutku,

nie dąsam się, a poszukuję. Dostrzegam, że moje zarządzenie chybia celu, rozkaz nie jest wykonywany przez wiele dzieci lub jedno, nie dąsam się, ale badam.

Niekiedy objaw, pozornie drobny i bez znaczenia, mówi o wielkim prawie, pozornie oderwany szczegół wiąże się u dna z ważnym zagadnieniem. Jako lekarz i jako wychowawca nie znam drobiazgów i czujnie śledzę to, co zdaje się przypadkowym i bezwartościowym. Drobny uraz rujnuje niekiedy mocne, karne a kručące funkcje ustroju. Mikroskop odkrywa w kropki wody zaraze, która pustoszy miasta.

Medycyna pokazała mi cuda terapii i cuda wysiłków w podpatrywaniu tajemnic natury. Dzięki niej widziałem po wielokroć, jak człowiek umiera, i z jaką bezlitosną siłą, rwąc łono matki, przedziera się na świat do życia płód, dojrzali owoc, by stać się człowiekiem.

Dzięki niej nauczyłem się wiązać mozolnie rozproszone szczegóły i sprzeczne objawy w logiczny obraz rozpoznania. I bogaty w doświadczoną świadomość o potęgę praw natury i geniuszu badawczej myśli ludzkiej, stając wobec niewiadomej: dziecko.

Gniewne spojrzenie wychowawcy, pochwała, napomnienie, żart, rada, poculunek, bajka jako nagroda, zachęta słowna — to są zabiegi lecznicze, które należy podawać w mniejszych lub większych dawkach, częściej lub rzadko, zależnie od przypadku, zależnie od indywidualnych cech ustroju.

Istnieją dewiacje, skrzywienia charakteru, które cierpliwie leczyć trzeba ortofrenią. Istnieje wrodzona lub przejściowa anemia ducha. Istnieje wrodzona słaba odporność przeciwko zarazie moralnej. Wszystko to można rozpoznawać i leczyć. Zbyt pośpieszne, błędne rozpoznanie i niewłaściwe lub zbyt energiczne leczenie spowodują pogorszenie.

Głód i przesył w zakresie życia duchowego s. tak samo materialne jak w życiu fizycznym. Dziecko, głodne rady, wskazówki, pochłonie ją, przetrawi i przyswoi; przekarmione moralem — będzie doznawało mdłości.

Gniew dziecka — jedna z najważniejszych, najciekawszych, dziedzin.

Opowiadaj mu bajkę, nieuważnie słucha. Nie rozumiesz, dlaczego, ale za-

miast się dziwić jak przyrodnik, niecierpliwisz się, dąsz.

— Nie chcesz słuchać, to dobrze; jak mnie poprosisz, nie opowiem.

— Nie to nie — odpowiada dziecko — bez łaski.

Jeśli nie powie, to pomyśli; poznasz po ruchu, po wyrazie twarzy, że nie dba o bajkę...

Calując, tuląc małego urwisa, proszę go, aby się poprawił. Rozpiakał się i ze łzami, z rozpaczą powiedział:

— Proszę pana, czy to moja wina, że pan akurat nie lubi lobuzów, tylko same niedolegi. No, niech pan jemu każe być lobuzem, to on także pana nie będzie słuchał.

Jego łzy nie były wcale oznaką skruchy. On nie protestował przeciw moim pieszczotom i słodkim przemowom, bo uważał je za zasłużoną surową karę za swoje liczne grzechy. On tylko myślał beznadziejnie o swej przyszłości: ten po cziwy, ale głupi wychowawca nie może zrozumieć, że ja nie mogę być inny. Dlaczego tak surowo karze poculunkiem, którego nienawidzę, niechby mi lepiej dał za ucho i kazał całe lato chodzić w podartych spodniach.

Sumując ogrom wyników, jakie dała kliniczna obserwacja dziecka w szpitalu, zapytuje, co dał nam internat: nic.

Zapytuje internat, ile godzin snu wymaga dziecko? Podręczniki higieny podają jakąś tablicę, przepisywaną z książki do książki, a ułożoną nie wiadomo przez kogo. Tablica głosi, że im dziecko starsze, tym mniej potrzebuje snu; to kłamstwo. Ogólnie biorąc, dzieci mniej wymagają snu, niż sądzimy, dodam: niżbyśmy pragnęli. Ilość godzin snu waha się zależnie od etapu rozwojowego, w którym się dziecko znajduje, i często trzynastoletnie chodzą spać z małymi, gdy dziesięciolatki są rzeźkie i nie słuchają książkowych przepisów.

Toż samo dziecko — dziś nie może się doczekać hasła, by wyskoczyć z łóżka, niezależnie od pogody i temperatury sypialni; po upływie roku staje się nagle ociężałe, z wysiłkiem się podnosi przeciąga i ociąga, a chłód sali o rozpaczy je przyprawia.

Łaknienie dziecka: nie je, nie chce, oddaje, wykręca się, oszukuje, by nie jeść. Mija rok: je, pochłania — kradnie bułkę z kredensu.

A potrawy ulubione i nienawistne?

Na pytanie, jakie ma dwa największe zmartwienia, chłopiec odpowiada: jedno, że mi rama umarła, drugie, że muszę jeść grochówkę. A są dzieci, które zjadają po trzy porcje zupy grochowej.

Ale czy można mówić o indywidualnych właściwościach, gdy się nie zna praw ogólnych?

A owo pochyłe trzymanie się dzieci, które się po pewnym czasie znów prostują i znów pochylają. Blade rumienią się i znów bledną. Zrównoważone psychicznie, stają się nagle kapryśne, oporne, niekarne — by po pewnym czasie znów się zrównoważyć — poprawić.

Ileż arsenikowej rozpuszty i ortopedycznego szwindla znikłoby z medycyny, gdybyśmy znali wiosny i jesienie rozwoju dziecka. Gdzieś badać je, jeśli nie w internacie? Szpital ma zadanie studiować choroby, brutalne zmiany, jaskrawe objawy; cała jubilerszczyzna higieny, mikroobserwacja drgań — wypracowane być winny w internacie.

Z książki Janusza Korczaka „Jak kochać dziecko”

Je się kożuchy... skrapiając benzyną i paląc w obecności wysokiej komisji. A przecież kilka osób zgłosiło chęć kupna tych kożuchów po niższych cenach... to sabotaż gospodarczy. Ale takie są przepisy..."

Wiele słów krytyki kierują pamiętnikarze pod adresem alkoholizmu i pijaństwa. W bezpośredniej obserwacji życia widzą oni w nich główną przyczynę demoralizacji i prymitywizmu wielu ludzi, a jeden z nich stwierdza w konkluzji: „Walkoń i leser jest u nas niczym święta krowa indyjska”.

Aprobowując politykę poprawy życia, dostrzegają autorzy braki, jakie jeszcze występują w zaopatrzeniu. Jeden z nich pisze: „Gdy się ogląda okna wystawowe, wydaje się, że jest już dużo ładnych rzeczy, ale gdy chce się sobie coś sprawić, to stale nie jest to, czego byśmy chcieli”.

Podsumowaniem wszystkich braków naszego życia wydaje się być stwierdzenie żyjącego na wsi pamiętnikarza, który mówi: „Jeśli — przykładowo — GS dostarczy nam tele i takich artykułów, jakie nam są potrzebne, urzędniczkę przestaną bawić się w królewny bajki, zaopatrzenie będzie zaopatrzeniem, zbyt — zbytem, lekarz — człowiekiem, to chłopu zostanie wyłącznie produkcja. Bo po to jest. A tak? Chłop chodzi, prosi, szuka, jest wszystkim w 80 proc. a rolnikiem w 20 proc”.

Przytywnym zjawiskiem jest to, że autorzy pamiętników nie tylko widzą braki w naszym życiu, ale chcą z nimi walczyć i walczą. Tak jak widzą życie oni, tak samo widzi je większość społeczeństwa i to prowadzi do eliminowania zjawisk złych, w czym i publikacja pamiętników może być pomocna.

„Miesiąc mojego życia 1973” nie jest jedna tylko, jak z dotychczasowych uwag wydawać by się mogło, zbiorem recept na poprawę i uwag ogólnych o Polsce roku 1973. Jest on przede wszystkim bezpośrednią relacją z życia Polaków w tym czasie, mówi o ich troskach i radościach, o życiu codziennym, o miłości i rozrywkach. Wielu z nich wspomina wiodzący wtedy na ekran film „Wesele”, wielu przypomina mecz Polska — Walia w Cardiff.

„Miesiąc” jest lekturą dla wszystkich. Dla socjologów i polityków, dla publicystów i działaczy. Jest też lekturą dla amatorów radiowych „Matusiaków” pokazuje bowiem prawdziwe życie i to życie nie jednego człowieka, ale zwykłych przedstawicieli całego narodu, którzy przeżywała wielkie przemiany społeczne i gospodarcze.

lgw

„Miesiąc mojego życia 1973” Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza W-wa 1978. Wybór i opracowanie — Stanisław Adamczyk i Zenon Kraska. Wstęp — Zdzisław Grzelak. Postowie — Józef Chałasiński. Str. 560.

Listy do Gerwazego

PARĘ ładnych — no, te trzy dziesiątki lat temu opowiadano o pewnym pisarzu, którego powieść jeszcze przed ukończeniem czytało grono znajomych. Opinia brzmiała zgodnie: powieść jest pozbawiona akcji, nic się w niej nie dzieje. Zarzut był nawet słuszny, ponieważ utworzono zamierzony nie jako zapis analiz psychologicznych, lecz jako obraz tzw. konkretnej rzeczywistości. Co zrobił autor? Na zakończenie powieści wprowadził scenę pożaru. Czy o pożarze można powiedzieć, że się w nim nie dzieje?

Podobnie postępuje młoda współczesna proza. „Działanie się” jest dla niej — jeśli tak po sokratesowsku można się wyrazić — nakazem dajmoniona. A więc precz statyka refleksji, na bok z psychologicznymi podtekstami, co tam poetyckie nastroje! Fakt, tylko fakt. Nagi fakt. Fakt — tym razem po gombrowiczowsku — faktyczny. I nawet byłoby ewentualnie pięknie, gdyby nie wyraził się w tym powyższy chwyt pirrotechniczny. Bo według aktualnych kryteriów o jakiej powieści mówi się, że się w niej coś dzieje? A no, o takiej, w której po kilku fiaszkach „patykiem pisanego” dwie pary na jednym tapczanie tasują się erotycznie. Ktoś inny nagrywa kontakt z cinkielarzem, „emy” w kłajowskim „Bristolu” polują na portfele starszych (wiekami) referentów na delegacji, uzgodniwszy przedtem „dole”, z portierem, do samochodu z zagraniczną (najlepiej amerykańską) rejestracją dobiega się płożona co i rusz krokiem milicjanta grupka gitowców. Oczywiście, że cennym wzbogaceniem jest odcisk kuczka ukradkiem zrobiony w szatni, a także pozorujący samobójstwo odkreślony gaz w pokoju niezbyt solidarnego członka klanu organizującego przerzut antyków za granicę. I byłby to obrazek całkiem ładny, gdyby nie starał się być obrazem. Rzeczywistości.

Ale że nie jest, wcale nie odstręcza pisarza. Będzie „walczył i dażył do kresu” (dla odmiany Słowacki). Będzie „dynamizował”, będzie „uatrakcyjniał”, będzie na „yczał” „działaniem się” swoje dzieło. Bo przecież on ma talent. Beztalencja pisząca normalnie to są literaccy „ludzie”, on jest git-literatem. Maluczko, a zafunduje sobie kropkę pod okiem!

Nastąpiło dziwne pomieszanie pojęć. Nie ma konfliktu z patrolem MO i paragrafem kodeksu karnego, jest konflikt postaw, stylów i poglądów? W takim razie co to za powieść? Jakaś staroświecczyzna! Żadnego mordobicia, żaden cwanlaczek nie próbował umknąć z knajpy przed zaplaceniem rachunku,

nikt nikomu nie zastąpił drogi w sprawie rachunku innego rodzaju? To nie ma co czytać — nie ma potrzeby pisać. Bo na za rzeczywistość — jak wiadomo — składa się z zalargów między cwanlaczami, nielegalnej wymiany zarobkowych walut i zorganizowanej działalności prostytutek.

Zaczynam tęknąć do małego realizmu. Ten podrealizm, ten pornorealizm i kryminorealizm niechby sobie spłynął jakimś ściekiem, a mnie pozostawil powietrze dla normalnych płuc.

Ale to się premiuj! Debiutant, który nagromadził w swoim tekście odpowiednią ilość takich scen jest obiecującym talentem! Literaturę się dziś ocenia skandalomierzem. Jeśli jest wystarczająco dramatycznie, furda tam wartości literackie. Czytam np. Janusza Adermana. Co protagoniści literackiego opiniodawstwa zauważyli w nim ciekawego? Scena łózkowa (co jest ładnie powiedziane) plus beceremonialność stylistyczna. To wystarcza, to nawet nadwyżka wymagań, by wejść na młodzieżowy Parnas. Brawo.

! Nie bardzo mi odpowiada interpretacja następująca: ojcowie dzisiejszych debiutantów, to znaczy Kolumbowie (też osobliwa nazwa) rocznik 20 mieli okupację, a więc konkret, dramatyczność, brylowatość życia w wymiarze historycznym, natomiast ich synowie ówże konkret, dramatyczność i brylowatość muszą sobie kompensować w wymiarze obyczajowym. Bo cóż. Historia byłaby dostarczyćelką sposobności do przeżywania zaplanowanych nastrojów? Po wtóre: co to za znak równania! Młody powstaniec rzucił się z butelką benzyny pod czółg, dzisiejszy gitowiec rzuca się z dziewczyną na tapczan — i to ma być to samo?

Wcale nie dopominam się o uznanie dla bohaterstwa, ani staram o ewokowanie kryteriów czasu przeszłego, co niesłusznie odparowują młodzi powiadając: „dajcie nam spokój, urodziliśmy się kiedy indziej, przeżywamy swój czas zgodnie z jego prawem”. Nikt dzisiejszemu dwudziestolatkowi nie zarzuci, że nie został ranny na Porytowym Wzgórzu. Tylko dziwne słyszeć, że dyskoteka zajmuje dziś mniej więcej takie samo miejsce w życiu pokolenia, co w życiu pokolenia poprzedniego „do tańca grają nam armaty”. że młoda literatura jakoby z zazdrości wobec Baczynskich, Gajcych i Strońskich, których twórczości „sprzyjał” czas historyczny, skandalizuje rzeczywistość po to, by dała jej podobną sposobność do samorealizacji. Cóż to za samorealizacja! I cóż to za teźże samorealizacji eskalacja! Dzisiejsze normy obyczajowe są nader rozluźnione. Już samo życie dostarcza sensacji, na które nawet przestajemy reagować. Ile więc literatura musi dolożyć starań, by była bardziej skandalizująca od życia? Śmieszny wyścig. I śmieszne ze strony młodych jego uzasadnienie. Brzmi ono tak, że jeśli w pisarstwie starszych nie ma tyle scen łózkowych, to dlatego, że starzy czegoś tam nie rozumieją. Czego miłanowicie — proszę dyskotekowe pokolenia — nie rozumieją? I czy na rozumieniu rzecz się tu zasadza? Nie na pewnej dystynkcji, dyskrecji, subtelności, której brakuje tym później narodzonym?

Wcale mi zresztą nie chodzi o wyrugowanie erotyki. Byłoby to zbyt blade, zbyt nobilitujące dla młodej literatury. Bo znaczyliby, że pod względem artystycznym nie ma jej nic do zarzucenia, co najwyżej przydałoby się trochę obyczajowych parawaników. Otóż nie podobnego. Młoda literatura dlatego tak chętnie podgląda łóżko, że niewiele ma do powiedzenia i przynajmniej w ten sposób chce swojego czytelnika przejąć dreszczem emocji. Będąc skazana na pośpiech. Bo co dziś jest jeszcze jako tako skandaliczne, jutro może skandaliczne nie być. Więc znów „literatura” przegrywa w wyścigu z „życiem”...

Ha, gdyby to był jakiś dzisiejszy wyznacznik stylu! Jakież mocne, a krótkie uderzenie w porównaniu z ubiegłowieczną rozwlekłością rzeczywistości nie zawrze niosącą treść, a często zwykłe gadulstwo. Tymczasem nie jest to stylem, bo nie jest filozofią, nawet tą behawiorystyczną, jedynie mechanicznym przeniesieniem odgłosów życia w sferę pisarstwa, które w ten sposób przestaje być kontrolą, a staje się imitacją. Rychło patrzeć, jak w powieściach będą się dowiadywał tylko o ścisłkach w autobusach, o kłótniach w sklepowych kolejkach, o słówkach, którymi na siebie warczą dwa skłócone klany przy buficie z piwem.

Osobliwe, że nie stronią od takiego pojmowania pisarstwa niektórzy literaci dorośli. Jest taka grupka. Czyżby się bała, że inaczej zostaną na marginesie? Obrazują sceny z marginesu społecznego, żeby nie zostać na marginesie literackim? Dziwny to zabieg o popularność. Dziwny wobec faktu, że równocześnie niekiedy z uwagami krytycznymi pod adresem młodopolskiej bohemy z Przybyszewskim na czele, któremu się dostaje za zarabianie skandalem na rzecz pisarskiej renomy, a który w porównaniu z dzisiejszymi git-pisarzami uchodzić może za benedyktyna.

Paradoksalnie, biorąc do ręki książkę i nie widząc w niej niczego co by świadczyło, że autor chce mi przekazać jakieś swoje przetworzenie filozoficznej myśli wsródczesnej, ale obraz rzeczywistości, który znam z własnych doświadczeń, ewentualnie z opowieści zażytych na klatce schodowej. Mówię o przetworzeniu, nie o przekazaniu. Tymczasem nawet tego drugiego nie widzę. Nie bardzo wiem, czy choć polowę z czytanych autorów mogę posadzić o znajomość Heideggera, Fromma, czy choćby Skinnera. Niekoniecznie znajomość afirmująca. Czyżby do diabła przybliżył epokę przestało być zadaniem literatury? Bierze się pióro do ręki nie po to, żeby wyjaśnić, ale żeby zaepatować? W dodatku czym! A w wypowiedziach ankietowych czyta się o jakichś odpowiedzialnościach, powagach, obowiązkach. Coraz częściej przychodzi na myśl nie wiadomo dlaczego zapomniany już Lec: „Myślicie, że ten autor mało dokonał? Obniżył poziom ogólny!”

I zdaje się, że nawet na takiej ambicji wielu pisarzom nie zależy. Są na tyle zarozumiali, że obniżają tylko samych siebie.

Protazy



Fot. J. H. Kowalewski

Tomasz Rzepa



żeby uchronić coś tam nic ważnego
nie co jest warte położyć na dloni
a tym bardziej w niej zamknąć pudelkiem pamięci
ten koralik na przykład znaleziony w piasku
kiedy to było nawet pamięć nie wie
lub pewną książkę równie mądrą w słońcu
co w ogrodach jesiennych
żeby ocalić przenieść przez wiele tych nocy
w których nie ma światła nawet na odległość
pamiętamy ocaleć tyle co przy wietrze
wędrujemy dalej tak bogaci w sobie
że zamknąć można przestrzenie upadłe
w szaleńczy łomot obciążonych paznokci

KRONIKA KULTURALNA

● Upowszechnia się aktywność polskiego Pleneru Malarskiego w do refleksji nad historią i losem własnym, jednostkowym, właściwą do niedawna przede wszystkim poetom. „Tyle lat oraiem, siatem i zbierałem, a nie wiedziałem, że depczę historię” — miał powiedzieć archeolog lubelskim rolnik, właściciel 3 ha w Masiołcu (woj. zamojski), które kryły wielką osadę z okresu wpływów rzymskich, jak twierdzi specjalista, jedna z najbardziej imponujących z odkrytych dotąd w Polsce. Naukowcom lubelskim szczęścia życzymy, bo konsekwencje w pracy to oni mają.

● Siedemdziesiąciu pisarzy ludowych brało udział w kolejnym, siódmym, ogólnopolskim konkursie literackim im. Jana Pocha, organizowanym przez Zarząd Główny STL w Lublinie. Zgodnie z tradycją najbardziej poręczne środki ekspresji autorzy znajdowali w obszarze poezji (74 zestawy utworów). W tym dziale I nagrodę przyznano Hance Nowobieleckiej, II — Maril Kozackowej, III — Mieczysławowi Buczyńskiemu. Wśród wyróżnionych także przeważały kobiety. W dziale prozy (13 prac) pierwszej nagrody nie wręczono. II zaś otrzymała Jadwiga Wiehrecka, a III — Stefan Sidorchuk (którego barwne wspomnienia drukowaliśmy kilka miesięcy temu). Tematem inspirującym autorów była Ojczyzna.

● Antoni Janusz Pastwa, rzeźbiarz kielecki i uczeń zmarłego dziesięć lat temu profesora Mariana Wnuka, przygotowuje pomnik Henryka Wieniawskiego. Monument o wysokości 3,10 m, wykuty w kamieniu sztytowieckim, ma stanąć w Lublinie, ale w jakim konkretnie miejscu — jeszcze nie wiadomo.

● 8 lipca rozpoczął się w Chelmie plener plastyczny, który nazywano międzynarodowym; obok rodaków z Warszawy, Trzebiatowa, Lublina, Zagania itp., biorą udział artyści z Łucka (ZSRR). Regulamin zwraca uwagę uczestników na: pejzaż wiejski i miejski, przemysłowy oraz na syndrom związany z „człowiekiem i jego pracą”.

● Pierwszy plener odnotowano także w Parczewie. Nosił on nazwę „międzywojewódzkiego malarsko-rzeźbiarskiego”, a jego efekty trafiły do miejscowego muzeum i na ulice Parczewa, uosabiając urodę tej ziemi i jej tradycje historyczne (walki partyzanckie).

● Napracowali się bardzo uczestnicy kolejnego, VII Ogólnopolskiego Pleneru Malarskiego w Krasniku, którzy w liczbie 13 w ciągu miesiąca namalowali 45 prac. „Aplauz dla naszych prezentacji, przerosł wszelkie oczekiwania — bardzo interesują się wystawami robotnicy, a dyrekcja fabryki (łóżysek tocznych — uw. AK) postanowiła od razu zakupić 15 prac poplenerowych” poinformował prasę Jarosław Olejnicki, komisarz imprezy, rozwijającej się po części w obrębie wspomnianego zakładu przemysłowego.

● Jan Machulski, reżyserujący gościnnie „Uciekła mi przepióreczka” Zeromskiego na scenie lubelskiej, o Teatrze Ochoty: „Ten teatr, jego zamysł, narodził się właściwie jeszcze w Lublinie. W 1981 roku założyliśmy tu scenę „Reduta 81”, po każdym przedstawieniu mieliśmy dyskusje z widzami. Teatr Ochoty jest dla mnie jakby kontynuacją tamtej sceny. Jest to więc teatr, który spełnia funkcję społeczną, wychowawczą, który stawia problem (...)”

● Dowiadujemy się ze Kierowana przez Leszka Mądziaka Scena Plastyczna Teatru Akademickiego KUL jest „na wysokiej fali”. Do takiej obserwacji upoważnia m. in. fakt zaproszenia zespołu na I Międzynarodowe Spotkania Teatru i Sztuki Otwartej, które odbędą się we Wrocławiu i okolicy przy końcu września i na początku października br. A czy ktoś z państwa pamięta najpierwsze zainteresowania animatora Sceny? Jeśli nie, przypominamy, że L. Mądziak lokował je w plakacie.

● W lipcu na kolonjach przebywała w Lublinie grupa młodzieży polonijnej z RFN, której w obiektach zespołu szkół elektronicznych przy ul. Wojciechowskiej stworzono rzeczywiste znakomite warunki wypoczynku. Rzetelnie przy tym natrudzili się nasi wychowawcy, aby zapoznać młodych gości z naszą historią, kulturą i obyczajowością. Wycieczki (do Warszawy, Płocka, Zamościa), wody sportowe, nauka piosenek i tańców polskich — to tylko niektóre punkty programu kolonijnego.

● Ponad 300 osób — najwięcej z Francji i Belgii — zgromadził lipcowy kurs dla polonijnych instruktorów zespołów folklorystycznych, a kilkadziesiąt — kurs dla nauczycieli szkół polonijnych. O tym, z jakimi trudnościami borykała się właśnie owe szkoły, powiedział, przy innej okazji, prof. John Wiśniewski z uniwersytetu w Pittsburghu, wchłaniając

Poloni amerykańskiej, zainteresowany m. in. problematyką oświatową, który przebywał w Lublinie na zaproszenie Polonijnego Centrum Kulturalnego UMCS. Stwierdzając rosnące zainteresowanie językiem polskim ze strony młodzieży amerykańskiej polskiego pochodzenia, dodał przecież: „Mamy jednak sporo związków z tym problemem. Podręczniki, które możemy zaferować, są w znacznej mierze przestarzałe nie tylko metodycznie, ale także lekcyjnie. W znakomitej większości pochodzą one z pierwszych lat naszego stulecia”. Jednocześnie profesor wysoko ocenił nowe podręczniki języka polskiego dla młodzieży anglosaskiej, powstałe lub powstające właśnie w Lublinie (m. in. pod redakcją prof. G. L. Seidlera).

● Z POM-u do Paryża latniejąca 9 lat przy Państwowym Ośrodku Masyńskim w Skrobowie k. Lubartowa kapela ludowa „Podlasiacy” przebywała miesiąc we Francji, korzystając z zaproszenia Towarzystwa Przyjaźni Francusko-Polskiej. Były występy dla Polonii, bale, spotkania, przyjęcie w naszej ambasadzie. Błęsa podany na posępnym przyjęciu przygotowanym pod fachowym okiem srebra kanell. Adama Stociego. Jak napisano by w gazecie sportowej: „Podlasiacy” wygrali.

● „BAJM” z Lublina dostał II nagrodę w opolskim konkursie debiutów, a „Budka Sufiera”, tym samym, teglego konkurenta.

● Z lipca zakończył się w Kazimierzu Dolnym XII Ogólnopolski Festiwal Kapel i Spiewaków Ludowych. Ze względu na przebiegające kłopoty z miejscem w tej rubryce, spowodowane mnogocią wydarzeń godnych uwagi, podajemy laureatów i nagród. W kategorii kapel otrzymała ją Kapela Piotra Figurskiego z Gabina w woj. płockim; w kategorii zespołów śpiewaczych — „Opocznianka” z Opoczna w woj. piotrkowskim i Zespół Kurpiowski z Nowogrodu w woj. łomżyńskim; w kategorii śpiewaków — solistów — Maria Gumieła z Sumina w woj. zamojskim; w kategorii solistów instrumentalistów — Ignacy Bednarz z Podhorców w woj. zamojskim; w konkursie ballad ludowych — Zespół Śpiewaczy z Niedzwicy Kościelnej w woj. lubelskim i Zespół Śpiewaczy z Drełowa w woj. białopodlaskim. W konkursie „Duży — Mały” przyznano pięć I nagród: Stanisławowi Klejnasowi i Bogdanowi Markiewiczowi z Raducza w woj. skierniewickim, Stefanii Adamus i Małgorzacie Wojtkowiak z Zychelic w woj. katowickim, Agnieszce Socha ze Zduńkowa w woj. radomskim, Dorocie Obszałek z Puław w woj. lubelskim, Joannie i Markowi Rauchańskim z Lubcza. Ponadto przyznano kilka nagród specjalnych.

A. K.

ekspres wicz

W wojennym pejzażu lipcowym

TELEWIZJA Polska zaprezentowała niedawno kolejny reportaż historyczny Mai Wójcik — „Przysięgamy”, poświęcony w całości „dziewczynie odnalezionej w kadrze” — kadrze pierwszego filmu dokumentalnego nakręconego w 1943 r. w Sielcach nad Oką: „Przysięgamy ziemi polskiej”. Bohaterkę reportażu znam od trzydziestu czterech lat: jej świeżą, dziewczęcą twarz, jej dłoń podniesioną do przysięgi, zobaczyłem po raz pierwszy na ekranie kinoteatru „Oaza” — dzisiejszego kina „Lewart” — w Lubartowie, latem 1944 r. w migotliwym świetle przenośnego aparatu projekcyjnego. Zainstalowali go w ograbionej przez Niemców sali kinowej przybyli ze wschodu żołnierze z orłami na czapkach. Pamiętam również ujęcia pokazujące stojącą na trybunie Wandę Wasilewską i Zygmunta Berlinga, panoramiczne przejście po zwartych szeregach żołnierzy i kończąca film defiladę. Dziesięcioletni chłopiec łowił w tych czasach wzrokiem i dobrze zapamiętywał każdą sprzączkę u pasa żołnierskiego, każdy guzik u munduru, każdy szczegół bojowego wyposażenia... O dziewczynach takich jak pokazana na ekranie, mówiono „platerówki”, widywaliśmy je często jak — uformowane w czwórki — maszerowały przez rynek miasteczka śpiewając „Okę”. Budziły w nas wielki respekt te zawadiackie, „frontowe” dziewczyny...

Ta utrwalona w kadrze filmowej kroniki miała 15 lipca 1943 r., w dniu zaprzysiężenia I Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, siedemnastoletnia. Była jednym z przedstawicieli bezmiennego masy żołnierskiej ruszającej w drogę do kraju. Może jej uroda, przejęcie, z jakim wypowiadała słowa przysięgi... a może tylko czysty przypadek spowodowały, że zatrzymało się na niej przez chwilę oko filmowej kamery wojennego reportera? Po trzydziestu kilku latach reporterka telewizyjna, rozbudowuje owe historyczne ujęcie filmowe: zapamiętana z filmu nieznaną dziewczyną określa się we własnym srodowisku, w czasie i przestrzeni, zyskuje imię i nazwisko. Major rezerwy Halina Bielawska-Pietkiewicz mieszka dzisiaj i pracuje w Krakowie jako dyrektorka liceum dla pracujących. Ma za sobą ukończone po wojnie studia rolnicze i pedagogiczne. Mówi o przeszłości z ciepłym ujmującym uśmiechem i aż dziwnym się wydaje, że ta bardzo delikatna i bardzo kobieca „pani psorka” przechodziła kiedyś morderczą, wojenną musztrę podczas srogiej rosyjskiej zimy w szkole oficerskiej w Riazaniu. I że później potrafiła twardą ręką trzymać w tejsze szkole podległą sobie męską kompanię podchorążych... Ze zdjęć spogląda na nas uroczą, elegancką dziewczyną z dystynkcjami podporucznika, w fantazyjnie



Halina Bielawska. Kadr z filmu — „Przysięgamy ziemi polskiej”.

Reprod. W Stępień

włożonej na bakier rogatej garnizonówce. Pełniła później funkcję oficera łącznikowego, brała udział w forsowaniu Wisły, a koniec wojny zastał ją na przedpolach Berlina... Dobrze, że powstał ten reportaż — prosty, szczerzy i niewymuszony, jak sama postać jego bohaterki.

Film „Przysięgamy ziemi polskiej” rozpoczynał serię „dokumentów” kręconych w marszu i na polach bitewnych przez dopiero co powstałą Czołówkę Filmową I Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Zaprzysiężenie Dywizji miało miejsce 15 lipca 1943 r., a zaledwie dokładnie miesiąc wcześniej pierwsi przedstawiciele Czołówki zostali wydelegowani z Sielc nad Oką do Moskwy w celu zaopatrzenia się w sprzęt zdjęciowy. Reportaż — dokument o narodzinach Ludowego Wojska Polskiego powstawał w Sielcach i tam też odbyła się jego uroczysta premiera. Komentarz czytał Władysław Krasnowiecki, aktor i zarazem dyrektor — dowódca teatru wojskowego. Film zrealizowano w czterech wersjach językowych: polskiej, rosyjskiej, francuskiej i angielskiej, przy technicznej pomocy i współpracy Centralnego Studia „Sojuzkroniki” w Moskwie. Jeszcze w tym samym roku w grudniu, także w Sielcach, odbyła się premiera kolejnego filmu zatytułowanego „Polska Walcząca” (Miesięcznik Filmowy nr 1) — tym razem producentem nie była już filmowa czołówka dywizyjna, ale Czołówka Filmowa I Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. „Polska Walcząca” nr 2 powstała w 1944 r. i miała również prapremierę w Sielcach. Ale już trzeci numer filmowego miesięcznika nosił znak Wytwórni Filmowej Wojska Polskiego w Lublinie i tutaj też, w 1944 r., pokazano go po raz pierwszy w kinach. Było w nim dużo zdjęć ukazujących pierwsze dni wolności w Lublinie i na Lubelszczyźnie i między innymi dlatego miesięcznik ten jest również często określany mianem „lubelskiego”. Także w Lublinie powstawał w drugiej połowie 1944 r. pierwszy numer Polskiej Kroniki Filmowej oraz wstrząsający dokument: „Majdanek — cmentarzysko Europy”.

Mirosław Derecki

KALEJDOSKOP

Wesoly kinooperator

W zamojskim kinie „Stylowy” oglądaliśmy niedawno „Ostatni film o Legii Cudzoziemskiej”. Komedia nie była w najlepszym gatunku, natomiast dużym poczuciem humoru wykazał się kinooperator. Nie tylko, że nie raczył w ogóle wyświetlić kroniki (cena biletu 18 zł, więc chyba można czegoś wymagać), ale cały czas bawił się wyścigami i wścizaniem fonii, uważając prawdopodobnie, iż skoro są tłoczone napisy, to fonia jest zbędna. Oburzona publiczność terpała i gwizdała, jak to zwykle ma w podobnych wypadkach miejsce. Jednakże nie na wiele się to

zdało. Zagadnieni na rzeczony temat miejscowi kinomani stwierdzili, że wypadki takie zdarzają się w „Stylowym” dość często.

statystykach, jako że balagan biurokratyczny kwitnie nie tylko w naszym kraju?

Grzyby na... niby

Z „Kurieru Lubelskiego” (nr 125) dowiadujemy się, że „światowa produkcja pieczarek jest aktualnie oceniana na 730 ton rocznie”. A nam wydaje się, że taka ilość zadowoliliby się w ciągu roku co najwyżej warszawiacy, bowiem już tylko rodzima produkcja pieczarek przekroczyła co najmniej 20-krotnie wymienioną liczbę. A może nas nie uwzględniono w

W trosce o pisownię

W edycji specjalnej popularnego kawowskiego „Ekspresu reporterów” na trzech tylko kolejnych stronach (218—220) znajdujemy dwa błędy — gramatyczny i ortograficzny: „Wdarł się... poniżej? tysiące metrów” (powinno być: dwóch tysięcy) i „Pogotowie nie chciało go zawieźć...”. Pogotowie zawozi, a zawieźć można się na niektórych publikacjach, filmowanych zresztą znanymi nazwiskami autora i zespołu redagującego.

Tadeusz Kwiatkowski-Cugow

SOBIE SAMYM DO UŁOMNOŚCI

Próżno nad biurkiem się zamęczam,
Z mozołem w wiersz zwoluję słowa,
Przecież jak umrę to i tak nie będzie
Ulicy Cugowa!

Ale ja nie chcę aż ulicy
Wzpatliwą sławę tak frymarczyć,
Gdyby ktoś chciał mnie upamiętnić
Zaułek wystarczy.

Jednak zaułki w mig rozdrapią
Niczym chodliwy jakiś towar,
Więc może wierni czytelnicy
Zechcą mi bramę obstałować?

Z bramami także różnie bywa,
Na tymku każda ma swe dzieje,
Jakiś się głupek nachla piwa
W spokoju ducha tam odle*...)

Lecz po co, jak mistrz Jan zwykł mawiać,
Myśleniem próżnym głowę psować,
Jakby kto chciał można by nazwać
„Poranny Kac... Imienia Cugowa”!

*) ye ye ye hali gali

POCZTA literacka



KRZYŻÓWKA

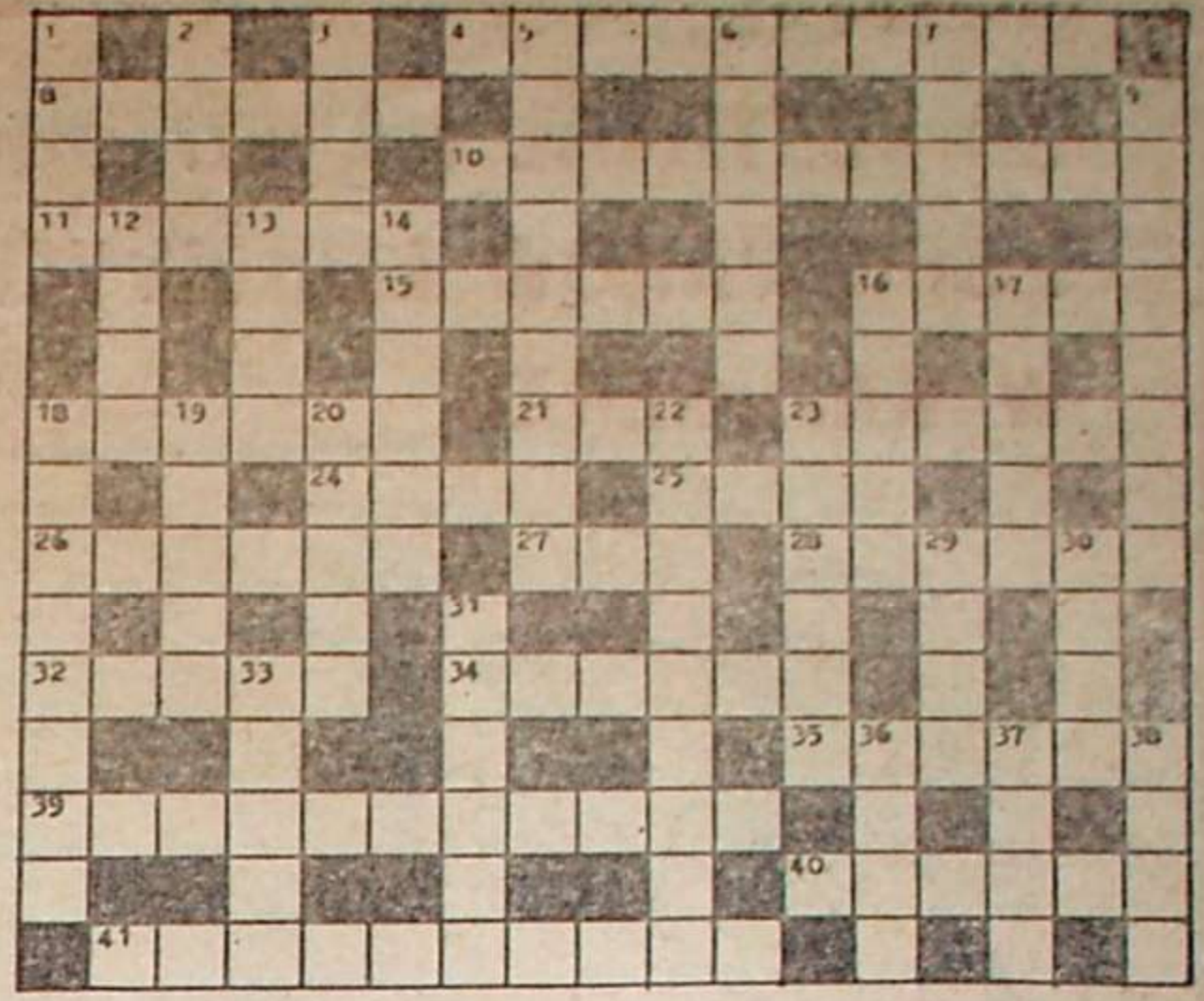
(nr 15)

Poziomo: 4. poeta, współorganizator Akademii Zamkowej, 8. wysunięty przedstawiciel oświeceniowego kolonializmu, 10. poeta polskiego renesansu, zarząca w Lublinie, 11. motor, 15. napęd kółka, 16. austriacka, czapka wojskowa, 18. protestancki duchowny, 23. lekki metal palący się w połączeniu z wodą, 24. weksel, nakwitowanie, 25. zrywki, 26. kontakt, 28. materiał grzewczy, 29. nasza planeta, 37. wiadomość w matematyce, 38. zbitowanie, 39. trostki, 42. niezdobi czelwika, 43. starożytne fiakry, 48. napój bogów, 49. część ministerstwa, 49. jeden z krajów Jugosławii, 41. Miriam.

Pionowo: 1. wykaz, zestawienie, 2. monarcha, 3. miasto w woj. lubelskim, 5. tytułowy bohater dramatu Słowackiego, 6. mówca, 7. jar, 9. współczesny pisarz i poeta, znawca Cyganów, 12. element mieszkania, 13. prąd, 14. tradycyjna miara pojemności, 16. miasto wojewódzkie, 17. przedstawiciel, 18. więcej niż faktycznie, 19. ryba łososiowata, 20. drzące drzewo, 22. ważna osobistość, 23. podwarszawska radiostacja, 29. czar, 30. państwo socjalistyczne na wyspie, 31. zastój, rozpręczenie, 33. pracownik tartaku, 36. narokoz, 37. instrument dęty blaszany niskiego stroju, 38. madyrycki klub sportowy.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 13.
Poziomo: Korczak, felczer, Siemiradzki, osad, orka, epik, kadr, katar, Ala, Rabat, Przybyszewski, stado, ką, kiessa, ośka, Amor, Maur, Apis, Podkowiński, salotka, Ariosto.



Pionowo: kino, rosa, kłitka, flanka, Zair, ruda, idea, kora, skarpetka, Krasieński, Przybóś, Drawsko, lista, DoRo, karoca, tanna, Irak, mors, upał, pies, solo.
 Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 13 bony książkowe po 40 zł za każdy wy-

losowali: Anna Kowalczyk 20-416 Lublin, Łazienkowska 14/4, Ryszard Rzepka 20-885 Lublin, Miernicza 19, Henryk Czuliowski 20-313 Lublin, Łęczyska 58/2, Stanisław Krasieński 20-455 Lublin, Siemiradzkiego 76.

H. W. W. Kolo. Miejsca na poezję w czasopiśmie jest mało. Powiedzieć gwarzą, że ma to na wszystko. Drożej jest przestrzeń pod drukowane, jak przestrzeń pod zabudowę. Po co więc subskrybować? Sam Pan pisze, że nadesłane otwory zostaną opublikowane w Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej. To nas rzuca od obowiązku rozpatrzenia możliwości ich druku u nas i prosimy nie uważać tej odpowiedzi za wymijającą. Wynika ona z racjonalnej gospodarki miejscem w papierowych środkach przekazu. Jako autor zostanie Pan usatysfakcjonowany książką, a na tym miejscu może zostać wydrukowany tekst kogoś, przed kim perspektywa w wydawnictwie jeszcze się nie otwiera.

T. R. Goleszko. Wyczerłem w tym zakresie, kiedy Pan pisze, że jedynym kryterium, jakie stosuje jest „podoba — nie podoba”. Mam na to dwie odpowiedzi. Pierwsza — że w moich uwagach nadawczych pod adresem autorów raczej chyba nie widać arbitralności, bo zawsze jakoś tam staram się sad umotywowane, druga — że kryteria estetyczne, jakimi rozporządza każdy z nas są pozbawione w stosunku do sfery intelektualnej i na dobrą sprawę „podoba — nie podoba” racjonalnie decyduje o stosunku czytelnika do danego tekstu, czyli nie jestem wyjątkiem. Na odwrót: byłoby dziwne, gdybyśmy z oceny utworu całkowicie wyłączyli kwestię gustu, to znaczy podatności na pewien sposób widzenia świata i taki na podstawie doświadczeń i przemysłów uznajemy za słuszny. Proszę mi dać wolny od subiektywnych nastawień obiektywny wariant literacki, a będę się nim posługiwał w miejsce mojego „podoba — nie podoba”. Dodam, że w takiej samej sytuacji jest Pan jako autor wobec mnie jako czytelnika: nie serwuję mi Pan tekstów spona sfery swoich umodobań. Nie chce przez to powiedzieć, że w tych sprawach panuje absolutna dowolność, łaskawa pomyłka, czy głupota są raczej sprawdzalne, ale co: od „ja” nie ma odejścia ani dla autora ani dla czytelnika ani dla recenzenta. Co do opowiadań. Bardzo podobają mi się (jak mam to inaczej określić) „Jutro półdziem dalej”. Ta atmosfera andersenowska, schulowska, czy jak to nazwać „Żeby ktoś przyjechał” jest za długie, za „rzadkie”. Choć w obydwiu ciekawe, wnikliwe postawienie sprawy. Bardzo niekonwencjonalne. Aż dziw, że dziś pisane. Ale druga połowa „Jutra” odbiera range oświeceni. Mniej więcej od środka rzecz zaczyna dźwięka w miejscu Szkoda Również i dla mnie, bo — wbrew pańskiemu posiadzeniu — lubię właśnie te atmosfery zamknięcia, odsuńcie banalnej fabuły, „innosc”. Mam nadzieję, że tych kilka uwag nas nie poróżni i taka sama nadzieja, że po pewnym czasie otrzymam tekst równie ciekawy, a wolny od wymienionych, a przecież łatwo dających się uniknąć mankamentów.

M. D. B. Włocławek. Mimo wszystko brak tym wierszom perspektywy filozoficznej, szkolowej czuje się, że powstały z nastrojów i napięć spowodowanych egzystencjalną refleksją. Tylko jest to wyrażone „w nośności”. Jakby w obawie, że poszukiwanie odpowiedniego wyrazu zabije stan psychiczny, który owo poszukiwanie spowodował. Poza tym za dużo metafor donosiłacowych. „Październy wspomnień”. „Jen wiosłowy”, „wiosno nieba”, „sorty rzeki” — to znamiona debiutnickiego etapu uprawiania poezji. Trzeba z tego zrezygnować.

Z. K. Warszawa. Mam wrażenie, że te teksty są tylko ufrzywane na wiersze. Świadczy o tym choćby niewielka ilość (razem jeden) wyrazów w wierszu. Gdyby to napisał „jednym ciałem” w znacznym stopniu zbudował poezję by się rozwiała. Poza tym rozpiętość składek tekstu na superawangardowym duża, że czasem nie chwytam komunikatu.

H. W. Pułtusk. Za dużo w tych wierszach niekształtowanego materiału. W poezji nie chodzi o wielość, ale o wiele. I im bardziej owo „wiele” mieści się w „małym” słowie, tym lepiej dla wiersza. Oczywiście nie stosujemy tu miarę artystyczną, ale selekcja musi być. Nie wszystkie elementy doznania jednakowo wnoszą wartość. Do wiersza mają trafić tylko te najbardziej żywotne, wydajne, pulsujące.

P. C. Lublin. Ale trzeba jeszcze nadać temu cel artystyczny? Sama artystyczna sprawność nie wystarcza. Coż mi z tego, że wiem, jaki stopień ma żołnierz, skoro nie wiem w jakim wojsku. Jakże postawy aprobuje autor, a jakich nie aprobuje? To muszę wiedzieć, inaczej utworu nie odbieram. Inaczej nie wiem, po co został napisany. Oczywiście mam się tego dowiedzieć nie z „moralu” stanowiącego dopisek do tekstu, jak się dawniej praktykowało w tekstach, ale w trakcie lektury na skutek ukrytej w tekście lektury na skutek ukrytej w tekście lektury argumentacji. Inaczej wystarczałoby sprawne fotografowanie. A przecież i w fotografii fotograficy mają ambicję odróżnić się od fotografów.

Z. G. Lublin A. Z. Tomaszów Lubelski, W. P. Konin, S. C. Wrocław — nie skorzystamy.

Listy do kamieny

JESZCZE O BASENACH

W stadium opóźnionej budowy znajdują się obecnie w Lublinie dwa baseny: przy Al. Zygmunta i w Akademickim Ośrodku Sportowym przy ul. Langiewicza. To opóźnienie irytuje prasę i przeciętnych obywateli, a ja tymczasem chciałbym zapytać: co będzie później, po uruchomieniu basenów, jeśli Lublin cierpi na niedostatek wody? A na dodatek nie nie wskazuje, że pod tym względem sytuacja zmieni się na lepsze w najbliższej przyszłości. Przy okazji mam jeszcze jedno pytanie: jaką rolę pełni basen na zapleczu Biblioteki Główniej UMCS — od dawna pusty, bez wody i zaniedbany? Czy to jest zbiornik przeciwpowodziowy czy kąpielowy, albo jeszcze inaczey: co to w ogóle jest?

Adam Lewicki
Lublin

KRADZIEŻE W BIBLIOTEKACH

Blorę do reki „Monitor Polski” z 1974 roku i szukam stosownego numeru — nie znajdując go akurat. Pytam w innej bibliotece o potrzebną książkę z historii sztuki, odnotowaną w katalogu, a pani bibliotekarka mówi mi, że już dawno nie ma tej pozycji w zbiorach, ponieważ została ukradzioną. Przeglądam roczniki pras lubelskiej i natykam się na dziury w kilku egzemplarzach gazet, czyli na rezultat „operacji” wiodącego czytelnika, który żuletką wyciął interesujący artykuł...

Takie przykłady można by mnożyć. Sami pracownicy bibliotek lubelskich nie krują, że wzmaganą się kradzieże w czytelnich i fakty wandalizmu. Mówią o tym niechętnie, albowiem obawiają się zarzutów ze strony własnego kierownictwa, że nie pilnują powierzonych im zbiorów,

choć przecież ci ludzie są często bezradni. Niby więc sytuacja dojrzała do zdecydowanego rozwiązania, ale nikt nie wie, co w praktyce można zrobić. Ostatecznie nikomu nie przychodzi do głowy — i słusznie! — aby zamienić biblioteki w obiekty pilnie strzeżone przy pomocy sił porządkowych. Ale problem jest i będzie. Czy zlikwiduje go przewidziany wzrost nakładów książek do kraju? Czy może raczej wzrost kultury społecznej?

Alicja Burzyńska
Lublin

„DOBRE U WAS”

Byłam niedawno w Lublinie i ze zdumieniem spostrzegłam, że stosunkowo szybko porządkuje się u was tereny nowych osiedli, sadząc tam krzewy, siejąc trawę itp. Ja mieszkam w Krakowie, przy ul. Telegi, która przecina osiedle zamieszkałe od czterech lat przez ponad 20 tys. ludzi, ale do tej pory przedstawiające trzy księżycowy krajobraz. Wykopy, dziury, chwasty, zniszczone chodniki — oto co ciekawszemu akcentu tego krajobrazu. Wiele domów nie ma jeszcze tynków, a na dachach wiszą kłosa, w wielkim osiedlu działa tylko jeden sklep spożywczy!

Janina Golec
Kraków

ATELIER DLA WSZYSTKICH

O działalności naszych domów kultury napisano już tysiące artykułów. Część z nich poświęcona była formom i adresatom pracy tych placówek, okupowanych zazwyczaj przez dzieci i młodzież. Zastanawiano się więc, jak przyciągnąć do domu kultury, przynajmniej w pewnym zakresie, nie przemębiając swojego modelu na bardziej otwarty i — w dobrym sensie tego słowa — usługowy. Chodzi mi o to aby w takiej placówce każdy mógł np. wykonać interesujące go pluty graficzne, aparat fotograficzny, czy też mógł wywołać prywatne zdjęcia w laboratorium fotograficznym domu kultury. W tej chwili owe atelie stanowią bazę prywatnych interesów etatowych pracowników, którzy przy okazji prowadzą jakieś kółka fotograficzne, robią jakieś wystawy — prac własnych i na ogół słabych.

Nie chce uogólniać, istnieje domu kultury ornamadzące dorosłych, ale wiele placówek nadal, jak przed dwudziestu laty, pracuje tylko z dziećmi (elitarne kół-

ka baletowe) i młodzieżą. W Czechosłowacji i we Francji, dla przykładu takie placówki są prawdziwymi kombinatami kulturalnymi dla różnych pokoleń.

Kazimierz Janicki
Krasnostaw

PLASTYKA W LSM

O ile dobrze wiem, dobiegają końca Lubelskie Spotkania Plastyczne w obrębie LSM w Lublinie, ale pora jeszcze, aby pomyśleć nad jakąś sensowną kolorystyką dwóch wielkich i nieotynkowanych jeszcze bloków w os. Konopnickiej. Tylko tym sposobem można rozbić monotonię i ciężar przestrzenny tego osiedla.

Inż. Władysław Kicka
Lublin

GŁOS W SPRAWIE „ZRÓDEŁ” I NIE TYLKO

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem „Zrodła” Kamenowskie. I chyba nie tylko ja, czytelnik lubi atrakcyjne nowości. Choćby kartki na zdradę. Jakie refleksje nasuwają się po kolumnach młodoliterackich? Ano różne. Najpierw o ustępie. Nie bardzo da się to zauważyć, choć chciałoby się wierzyć, że ta lubelska literatura taka znacząca. Gdzie ci pisarze z Lublina? Skąd ci młodzi naliczyli tyle książek? Skąd? Nie rozumieć. Gdzie ci pisarze byli podczas dni oświaty. Gdzie podpisawali książki? Chyba nie w Zaklikowie. Może nieźleby pilnie siedzą prasę literacką i nowości w ustroniu z emblematem „Wydawnictwo Lubelskie”. Kiedyś tworzył w tym miejscu pisarz Zygmun Mikulski. Co z nim?

Do „Zrodła” wracając. Wierzę jak wierzę. Niektóre lepsze od innych w innych plamach, inne gorze. W sumie przeciętność. Ale wzmiana listów między Gerocizmem a Protazumem dobra. Pomysł pierwsza klasa. Choć trochę mi się myśla. Godny zainteresowania dremocik. To już chyba coś. Takich form małych nie spotyka się. Bo, czego się nie spotyka, to powinno być dobre. I opowiadanie. I opowiadanie niezłe, a nawet dobre. Już dawno nie czytałem w „Kamieniu” tak dobrze zrobionego kawałka prozy. Niezłoty, nie pamiętam nazwiska autora. Chciałoby się, aby to nie pierwsza tekst w Waszym piśmie. W sumie może być. Do następnych „Zrodła”. bo chyba nie wystarczy.

Z poważaniem
Jan Ligońko
czytelnik z Lublina

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich

Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańsiewski

Redaguje zespół: Maria Bechzyce-Rudnicka, Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmun Mikulski, Zygmun Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derel, Tadeusz Jasinski, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Maciej Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerata na kraj przynajmniej Oddziału RSW „PRASA-KSIAZKA-RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach: — do 25 listopada na styczeń i kwartał, i półrocze roku następnego i na cały rok następny.

— do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 75.—

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA-KSIAZKA-RUCH”

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorki indywidualni, zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA-KSIAZKA-RUCH” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1831-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-16.

Wydawca: RSW Prasa-Książka-Ruch Lubelskie W. dawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4, Zam. 1868.

Numer łamaj Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia. Nr indeksu 36251

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93, z-ca red. nac. 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

XII FESTIWAL KAPEL I ŚPIEWAKÓW LUDOWYCH W KAZIMIERZU



PIOTR JAROCKI
SOLISTA SKRYPEL SIEMIATYCZE



Zdjęcia:
Jacek Mirosław
Karykatury:
Jerzy Młotkowski



WŁADYSŁAWA STELMACH
PLECIWIASTWO NIEMIENOWICE



JAN TRZPIŁ
MIERZAŁKA



STANISŁAW PARDO
NOWOGRÓD



MIECZYSLAW BIERNACIK
WICEPREZES STL